Wszystkim naszym Czytelnikom i Przyjaciołom składamy serdeczne życzenia: zdrowia, udanych ferii zimowych, Wesołych Świąt i dobrego Nowego Roku 1968.

Niech się do Was, Kochani, szczęście i słońce radośnie uśmiecha!

Wasz „Świat Młodych"

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 101—102 (1675—1676) Warszawa, 19—22 grudnia 1967 r. Cena 1 zł

Foto CAF

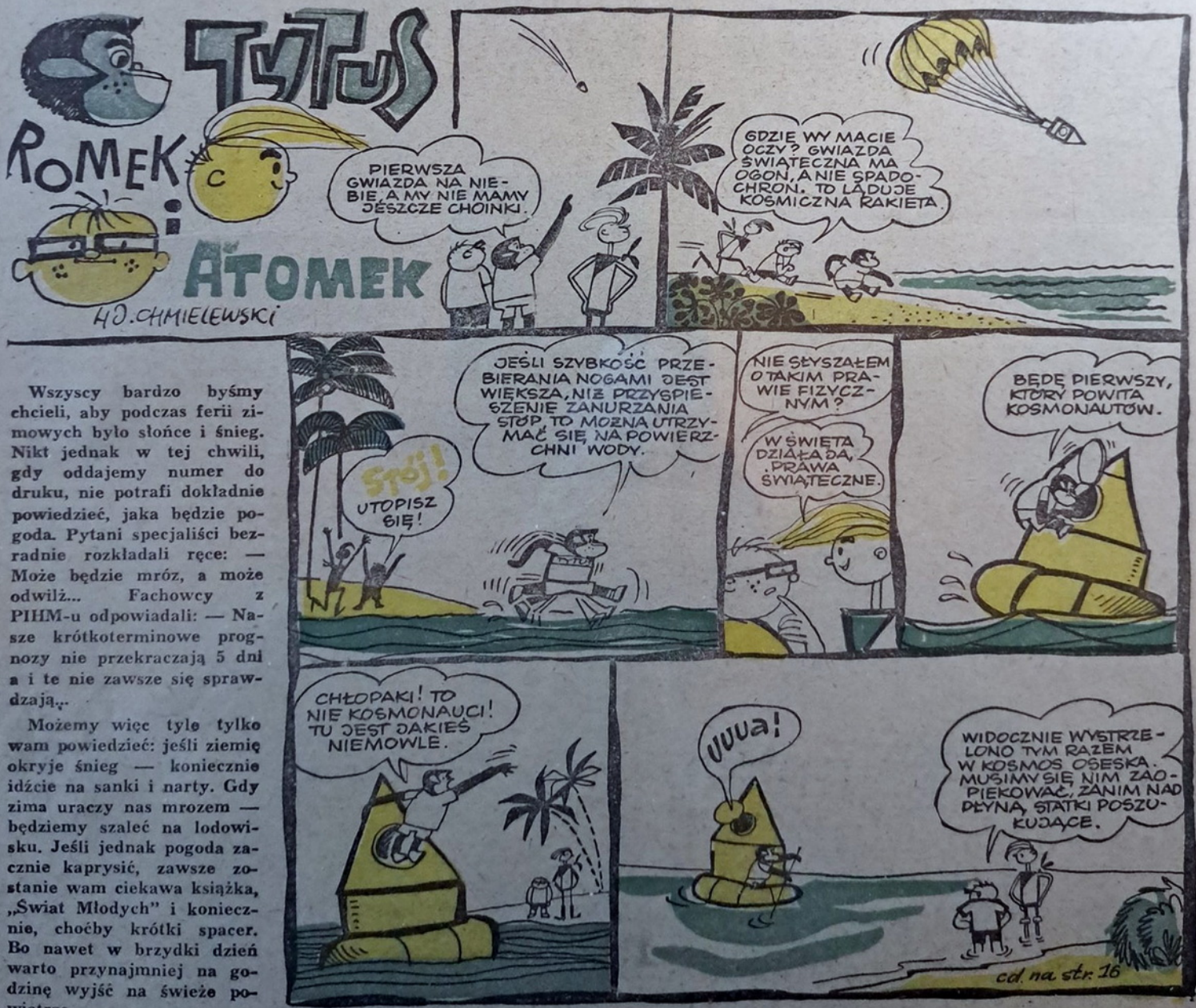

Wszyscy bardzo byśmy chcieli, aby podczas ferii zimowych było słońce i śnieg. Nikt jednak w tej chwili, gdy oddajemy numer do druku, nie potrafi dokładnie powiedzieć, jaka będzie pogoda. Pytani specjaliści bezradnie rozkładali ręce: — Może będzie mróz, a może odwilż... Fachowcy z PIHM-u odpowiadali: — Nasze krótkoterminowe prognozy nie przekraczają 5 dni a i te nie zawsze się sprawdzają...

Możemy więc tyle tylko wam powiedzieć: jeśli ziemię okryje śnieg — koniecznie idźcie na sanki i narty. Gdy zima uraczy nas mrozem — będziemy szaleć na lodowisku. Jeśli jednak pogoda zacznie kaprysić, zawsze zostanie wam ciekawa książka, „Świat Młodych" i koniecznie, choćby krótki spacer. Bo nawet w brzydki dzień warto przynajmniej na godzinę wyjść na świeże powietrze.

cd. na str. 16

ŚWIĄTECZNA HERBATKA

ANNA GRZYBOWIECKA

W bufecie na kolejowym dworcu ma barwę słomy, tam się ją pije pośpiesznie, byle prędzej; herbata, którą nas poczęstuje wytrawny jej smakosz, jest prawie brunatna. Wasza herbata świąteczna niech będzie świeżo zaparzona, aromatyczna, gorąca, niezbyt słodka, o kolorze złocistym. Pomieszajcie ją cichutko i pijcie po odłożeniu łyżeczki na spodek. Pozostawienie łyżeczki wewnątrz filiżanki świadczy o braku eleganckich manier.

Przepis na zaparzenie herbaty znajduje się na każdym opakowaniu i jest dobry, trzeba go tylko przestrzegać.

Chiński krzew

„JEST TO KRZEW CHIŃSKI, KTÓREGO USUSZONE LIŚCIE PARZY SIĘ WODĄ I TA WODA ZAŻYWANA JEST POD IMIENIEM HERBATY" — pisał Krzysztof Kluk, autor jednego z pierwszych polskich podręczników do botaniki, i dodawał: „GDYBY CHINY WSZYSTKIE SWOJE TRUCIZNY PRZESŁAŁY, NIE MOGŁYBY NAM TYLE ZASZKODZIĆ, ILE SWOJĄ HERBATĄ".

Cóż tak szkodliwego widział autor botaniki w herbacie?

Zawiera ona kofeinę, alkaloid, otrzymywany również z nasion tak popularnej u nas kawy, która bardziej niż herbata jest naszym napojem narodowym. Cóż — kofeina kofeiną, ale my zaparzamy rocznie 186 gramów herbaty na głowę (kawy — 302 gramy).

Odpędza troski

NAJSTARSZYMI herbacianymi koneserami są ponoć Chińczycy. W roku 3000 p.n.e. pewien chiński cesarz wprowadził do stołu herbatę jako napój. Jeden z jego następców, imieniem Kien-Long, bawiąc na polowaniu, ułożył nawet poemat pt. „Herbata". Wyjątki z tego cesarskiego dzieła dotyczyły sposobu zaparzania jej wywaru. Kiedy woda do tego stopnia się zagrzeje, iż „rak by szczerwienial" — pisał cesarz — „należy jej wlać w filiżanki na delikatne liście wybornej herbaty. Woda niech chwilę postoi, póki nie ujrzysz lekkiej mgły wiszącej nad powierzchnią. Wtenczas pij ten wyborny napój, a oprzesz się troskom" — radzi cesarz.

Dwa tysiące filiżanek

PRACOWNIK pewnej londyńskiej stacji kolejowej, odpowiedzialny za sygnalizację, zatrzymał pewnego razu ruch wszystkich pociągów na 20 minut, ażeby spokojnie zaparzyć sobie herbaty... Fakt ten — ze specjalnym komentarzem — podawały londyńskie gazety, ale choć Anglicy kpią ze swoich zwyczajów bardzo są do nich przywiązani! Jednym z tych zwyczajów jest picie herbaty. Tak zwany tea time (czyt. ti tajm), czyli „czas herbaty", wypada na godzinę 7 po południu. Anglicy zresztą mawiają, że herbaty nie ogranicza zegarek, bowiem można ją pić o każdej porze ale za to zawsze z mlekiem! Zaczynają więc od niej dzień, już o 6 rano wypijając pierwszą filiżankę. Popijając w

ciągu dnia, zużywają ponad 4 kg herbacianych suszonych listków na głowę jednego mieszkańca rocznie, co wynosi 1800 — 2000 filiżanek!

Samuraju zostaw miecz

ARTYŚCI teatru japońskiego, wybierający się z występami do Paryża, zastrzegli sobie, że podczas trwania przedstawienia, za

Rozbita kasa sotni Tryzuba ściągnęła do miasteczka różne typy spod ciemnej gwiazdy. Czy upora się z nimi nowa władza?

WILCZE

WZDŁUŻ STROMYCH BRZEGÓW rzeki galopują dwaj jeźdźcy na koniach. Za oddalającymi się mężczyznami patrzy jasnowłosa dziewczyna: „A jeśli wam się nie uda?" — woła za nimi.

Jeźdźcy odwracają głowy, uśmiechają się nonszalancko i machają rękoma na pożegnanie. Wjeżdżają w wodę. Po przeciwnej stronie rzeki czeka ich złowrogi, pełen ciszy i zasadzek las...

◆

Jakże może nie udać się jeźdźcom ta wyprawa? Przecież to western, a w filmie tego gatunku głównym bohaterom wszystko musi się udać. Tak przynajmniej jest zawsze w klasycznych westernach, gdzie szlachetny i o silnej pięści kowboj zwycięża kowboja podłego, choć o równie silnym ciosie i szybkim strzale.

Tym razem czeka polskich widzów niespodzianka. Otrzymają bowiem prezent w postaci nowego filmu-westernu i to autentycznie polskiego. Bez kowbojów, szeryfów, kapeluszy z dużym rondem, bez obracania na palcu kolta i krwawych rozróbek rodem z Arizony czy Teksasu. Za to z polskimi rzekami i lasami z okolic Bieszczad, ze spalonymi i wyludnionymi wsiami, ukrytym skarbem dawnej bandy sotni Tryzuba, z przemytnikami, wopistami i z samotnym jeźdźcem znikąd. Western nie byłby klasyczny, gdyby nie znalazła się w nim dziewczyna. Jest więc i ona. Jasnowłosa, w butach z cholewami — Tekla.

Kim jest Słotwina?

SŁOTWINA to były żołnierz, chorąży, który dzielnie walczył w okresie walk z bandami. Potem, po wojnie, został dowódcą strażnicy WOP-u. Ale Słotwina to niespokojny duch, nie znoszący niesprawiedliwości. Jest też urodzonym poszukiwaczem przygód. Zawsze strzela pierwszy i potrafi wydostać się z najgorszej opresji. Słotwina może dać w szczękę każdemu, komu chce, i tak wiadomo, że zawsze ma rację. Taki rozrabiaka nie jest mile widziany w dowództwie WOP-u. Dlatego Słotwinę zwolniono za niesubordynację.

Słotwina jest więc aktualnie bez zajęcia. Jedzie na swym koniu w nieznane i... trafia do małej, na wpół wyludnionej i spalonej wioski Derenicy, w Bieszczadach. Jest rok 1948. Niedawno grasowały tu jeszcze bandy. Ludzie chowają się w zrujnowanych domach, boją się! W miasteczku pano-

„Czy ci się uda?" — ma wątpliwości dziewczyna — ale dla chorążego Słotwiny każde niebezpieczeństwo warte jest ryzyka. Zresztą on zwykle zwycięża.

Tekla, dziewczyna o jasnych włosach, odgrywa niepoślednią rolę w filmie. To właśnie o nią rywalizuje Słotwina z Witoldem.

ECHA

WESTERN PO POLSKU

sza się różne niedobitki band, przestępcy, niebieskie ptaki, opryszki. Korzystają z tego, że na bezludziu Bieszczad prawo jeszcze nie jest prawem i próbują w łatwy sposób zbić tutaj fortunę. A okazja jest rzadka, bowiem w okolicy mówi się o tajemniczym skarbie, pochodzącym z kasy bandy Tryzuba. Ten legendarny skarb upowskiej sotni jest powodem wielu nieszczęść, bezprawia i napadów.

W taki to czas zjawia się właśnie chorąży Słotwina: nieustraszony i sprawiedliwy jeździec. Dzięki niemu spokój zapanuje w miasteczku i wróci prawo.

Aldek, Witold i inni...

ALDEK PIWKO to młody, kudłaty i barczysty chłopak, który przez głupotę dał się wciągnąć w różne sprawki bandy. Ale Aldek nie jest zły. Dlatego też z chwilą pojawienia się w miasteczku Słotwiny Aldek stanie się jego wiernym giermkiem, a swoje uznanie dla siły i sprytu Słotwiny będzie odtąd wyrażał z niekłamanym podziwem w słowach: „Ale pan ma kopa, no, no!"

Aldek przyczyni się też ogromnie do rozbicia grupy bandytów tropiących skarb Tryzuba.

Witold ukrywał się przez długie tygodnie w opuszczonym bunkrze. Jest więc ponury, nieufny, twarz przecina mu blizna — ślad walki z bandami. Witold jest sprzymierzeńcem Słotwiny w tropieniu bandytów, ale... na drodze ich wspólnego porozumienia, staje Tekla, którą Witold kocha, a która... wolałaby Słotwinę.

Tekla to dziewczyna z charakterem. Przedsiębiorcza, zaradna, jeździ konno jak chłopak, nie boi się niczego. To ona w najtrudniejszych chwilach przyjdzie Słotwinie z pomocą.

Film obecnie jest w fazie udźwiękowienia. Pewnie na początku nowego roku wejdzie na ekrany.

Jeśli chodzi o obsadę westernu, to grają w nim: **Teklę — Irena Karel, Aldka — Marek Perepeczko, Witolda, czyli człowieka z blizną — Zbigniew Dobrzyński.** Nieustraszonym Słotwiną jest estoński aktor, znany u nas z radzieckiego filmu „Nikt nie chciał umierać" — **Bruno O'ya.**

Film reżyserował według własnego scenariusza **Aleksander Ścibor-Rylski.**

Czy western, z Polski rodem, spodoba się? Sprawdzimy w kinie.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Konie grające w filmie są szlachetnej krwi wierzchowcami. „Hrabia", „Huzar", „Haga", „Sund", „Alert" — oto imiona niektórych tylko końskich bohaterów. To właśnie na ich grzbietach banda ucieka przed pogonią. To od ich szybkości i zwinności zależy powodzenie filmowej akcji. Foto: Zespół „Rytm"

HERBATKA ŚWIĄTECZNA

kulisami teatru, będzie się znajdowało sale 50 filiżanek świeżo zaparzonej herbaty... Zwyczaj picia herbaty i cała ceremonia tej czynności, wywodzi się z Japonii z wieku XII, kiedy to pijący herbatę Japończycy bawili się odgadywaniem gatunku, a nawet miejsca pochodzenia herbacianego krzewu.

W okresie wojen domowych — XV, XVI wiek — uroczyste picie herbaty było jedynym momentem spokoju i zawieszenia broni. Nawet prowadzący ze sobą walki samurajowie, spotykając się na — jak byśmy to dziś powiedzieli pokojowych herbatkach, zostawiali miecze przed drzwiami... Przestrzegali oni czterech znaków: Wa, Kei, Sei, Jaku (harmonia, szacunek, cisza, samotność) i grzecznie i w skupieniu wychylali swoje filiżanki herbaty. Ceremonia picia herbaty nazywa się w Japonii Chanoyu.

Czarna i zielona

W naszych sklepach znajduje się sporo gatunków herbaty. Popularny, i co tu dużo mówić, nie najwyższej jakości „ULUNG", lepsza od niej i droższa herbata „GRUZIŃSKA", i „MADRAS", doskonała „YUNAN" (stale jej brakuje...) i „CEJLOŃSKA" — to nazwy, z którymi stykacie się najczęściej, robiąc w sklepie zakupy.

Herbatę można podzielić na cztery główne rodzaje: CZARNĄ, którą otrzymuje się po kilkugodzinnej fermentacji i wysuszeniu zerwanych liści.

ZIELONA — nie sfermentowana, lecz specjalnie ususzona, oraz ULUNG — sfermentowana tylko częściowo. Czwarty rodzaj, stanowią herbaty SPECJALNE: cegiełkowa, proszkowana, z dodatkiem zapachu np. liści jaśminu itp.

Dziko rosną dwa główne gatunki: herbata chińska, której krzewy osiągają 6 m wysokości, oraz assamska — wysoka ponad 20 m! Oczywiście herbata na plantacjach jest starannie pielęgnowanym, niedużym krzewem, co ułatwia zbiór liści. Najwspanialszą herbatę stanowią pączki i najmłodsze listki, zaś najcenniejsze krzewy rosną w Indiach koło miasta Dardziling oraz na Cejlonie.

„Sztuczna" herbata

PARZENIE herbaty nie wymaga długiego czasu. Wystarczy 5-10 minut, ale niektórym i tego czasu szkoda... Pierwszym wynalazcą herbacianego ekstraktu był pewien japoński lekarz, ale jego wynalazek nie cieszył się uznaniem. Natomiast w Stanach Zjednoczonych produkuje się obecnie herbaciany ekstrakt, który wystarczy zalać wrzątkiem, ażeby otrzymać szklankę herbaty. Amerykanie uważają, że „czas to pieniądz" i że czasu tego na „naciąganie" esencji szkoda marnować.

W samowarze

SAMOWAR, jak wiadomo, to sprzęt rozpowszechniony najbardziej w Rosji. Wokół kipiącego samowara skupiali się ludzie i czekając aż gościnni gospodarze napełnią ich szklanki gorącą, aromatyczną herbatą, politykowali, rozmawiali. Rosjanie lubią pić herbatę z konfiturami, którymi zagryzają każdy łyk. Inny sposób, tzw. „na prykuskę", polega na ugryzieniu kawałeczka cukru i zapiciu go haustem herbaty.

Herbata w tonach

ROCZNA ŚWIATOWA produkcja herbaty wynosi 1120 tysięcy ton (dla porównania: przed wojną produkowano tylko 487 tysięcy ton).

Największym eksporterem herbaty są Indie, na drugim zaś miejscu pewna wysepka 45 razy mniejsza od Indii — Cejlon. Nawet na ryż nie ma miejsca na wyspie, wszędzie rosną herbaciane krzewy. Przy czym 80 proc. właścicieli plantacji na Cejlonie to Anglicy, dawni jej kolonizatorzy...

O DWÓCH BRACIACH-OLBRZYMACH RYBACKIEJ OSADZIE I GÓRZE PIRATÓW

Napisała
WIESŁAWA MROCZEK

BYŁO to tak dawno, że nikt już nie pamięta tego wydarzenia. I gdyby nie ten wielki kamień, który sterczy z Zalewu Wiślanego w bok od Tolkmicka, kto wie, czy jeszcze ktoś wspomniałby dwóch braci-olbrzymów, Swora i Wilczeja, którzy te okolice zamieszkiwali, kiedy jeszcze Zalew Wiślany nie był od morza przegrodzony mierzeją.

O tę mierzeję właśnie się rozeszło... Mieszkał sobie Swor w miejscu, gdzie dziś Tolkmicko się wznosi. A Wilczej — na piaszczystym wzgórzu, pośród morza. Tam akurat, gdzie później Krynicę Morską pobudowano.

Ciasno było Wilczejowi na tym wzgórzu i niewygodnie. Więc piasek garściami z morza wybierał i wał długi sypał.

Swor rozzłościł się na brata.

— Hej, ty! Przestań! — krzyczy ze swego domu. — Od morza mnie odgrodzisz! Ryby wypłoszysz!

Wilczej nie słuchał. Wybierał piasek z wody i pole swoje powiększał. Swor nie wytrzymał. Złapał głaz ogromny i w brata się zamachnął. Ale głaz poleciał w bok. Leży do dziś w Zalewie Wiślanym — ogromny, czternaście metrów w obwodzie sobie liczy... Jak się ostatecznie ten spór między braćmi zakończył, nie wiadomo. Legenda o tym milczy. Ale wszyscy już wiecie, skąd się wzięła... Mierzeja Wiślana.

Nie orzą, nie sieją

CI, KTÓRZY DZIŚ MIESZKAJĄ na Mierzei — rybacy. Kto łodzi nie ma, kto się wody boi, musi stąd uciekać. Bo tu tylko wydmy i woda. Z jednej strony Zalew Wiślany, z drugiej — morze.

Mała osada Piaski. Kiedyś tu próbowano orać i siać. Było to jeszcze z dziesięć lat temu. Zaczęli Prusakowie. Rzucili w bruzdy kartofle. Nie za dużo, nie za mało. Tak w sam raz, aby dobrze rosły. A że późna była pora, postanowili, że rano dopiero bruzdy przyorają.

Prusakowa została na noc na polu. Zbudowała szałas i pilnuje pola.

Noc przyszła ciemna, na nowiu. Własnego palca nie widać. Nagle słychać tupanie, pochrząkiwanie... Odwaga kobiecinę opuściła.

— Odyniec pewnikiem! Prusakowa wejście do szałasu zaparła i słucha...

Od Zalewu, gdzieś chyba zza półka, niosło się wciąż postękiwanie, mlaskanie, chrzęst jakiś.

— Ślimaki pewnie żre — pocieszała się gospodyni. A że naharowała się przez dzień cały, przysnęła sobie zdziebko. Kiedy wyjrzała z szałasu o świcie, po odyńcu ani śladu, po ziemniakach też...

I tak dziki pokonały ludzi. Przestano uprawiać pola. Mieszkańcy Mierzei są już wyłącznie rybakami. Na przykład na dziewiętnaście rodzin zamieszkujących Piaski, osiemnaście rybaczy. Dziewiętnasta to rodzina sołtysa. Tylko sołtys — pan Tadeusz Domański — pracownik Gdańskiego Urzędu Morskiego, uprawia ziemię. Ściślej mówiąc — piach. Pod jego okiem łyse nadmorskie wydmy porasta grzywa traw. A półko to niemałe. Dziesięciokilometrowy pas nad morzem i tyleż samo nad Zalewem.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych wędrowały sobie te wydmy, gdzie chciały i jak chciały. Przysypywały stare sosny. Są miejsca, gdzie sterczą z gór piachu uschłe kikuty drzew.

Morze ciągle nanosi piach na plaże. Człowiek musi dopomóc przyrodzie, aby, według jego woli, wydmy usypywały się w równy wał — naturalną obronę przed sztormowymi falami.

Istniejące więc łyse wydmy przykrywa się chrustem, żeby wiatr nie gonił lotnego piasku. Od strony plaży stawia się płotki z faszyny. Wrzesień i październik jest okresem sadzenia trawy wydmuchrzycy. Dobra to trawa. Znosi sztormowe wichury. Przysypywana piaskiem, rośnie wyżej i wyżej, wzmacnia wątłymi zdawałoby się łodyżkami stopę walu...

— Najgorszy był rok sześćdziesiąty drugi — wspomina pan Domański. — Patrolowaliśmy dniami i nocami cały brzeg. Tu wiatry północne mają taką moc, że wyrywają drzewa z korzeniami. Pamiętam, na oddziale czwartym (cały rewir podzielony jest na oddziały) woda wdarła się na zaplecze wydm. Baliśmy się, że woda przerwie cały wał... Przez wiele godzin sterczałem na wydmie. Na szczęście na tym się skończyło. Straty były duże, fale pozdzierały faszynę, rozmyły płotki, wypłukały trawę... Wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Zimą zawsze mamy w pogotowiu kilka tysięcy worków. W razie grożącego niebezpieczeństwa — piasek w worki i na wydmy! Latem za to dochodzi walka z... letnikami. Ci depczą wydmy, albo zrywają kwiatki... Nie wiedzą może, że na piachach każda roślinka podlega ochronie, od trawy wydmuchrzycy aż po sinawy mikołajek nadmorski.

Pierwszy z lewej — pan Tadeusz Domański — dogląda na Mierzei sadzenia trawy wydmuchrzycy.

Foto: autorka

Mama — młodszy rybak

PAŃSTWO BŁASZCZYKOWIE osiedli w Piaskach w 1951 roku. Są najstarszymi mieszkańcami osady. Do domku na samym początku wsi wchodzę z nadzieją, że dowiem się ciekawostek o Zalewie, o połowach na morzu.

Gospodyni akurat zbroi w ciężarki sieć rybacką. — To na flądrę — mówi. — Na różną rybę potrzebna różna sieć. Inaczej się też sieci obciąża. Dorsz lubi wodę chłodną, głębiej żeruje. Certa woli płyciznę. Madra ryba certa... Sztorm wyczuje. Nim się rybacy z radia dowiedzą, że niebezpieczeństwo się zbliża, certa w głębie ucieka... Różnie się też sieci na różną rybę stawia. Na certę prostopadle do brzegu, a na flądrę — równolegle... Na certę dobre są wiatry od zachodu, na flądrę — od wschodu...

— A czy pani była kiedyś sama na morzu, no na połowach? — pytam...

— Czy mama była?! — oburza się Krysia, córka pani Błaszczykowej.

— Mama jest rybakiem! Razem z tatusiem wypływa na połowy już dziesiąty rok! I to taką małą łodzią. Dwuosobową! I jakby tam mama nie podnosiła głosu, to by flądry do sieci nie przyszły...

Okazuje się, że kapitanem łodzi jest pan Błaszczyk, a jego małżonka pełni funkcję młodszego rybaka...

— Chyba ze dwa lata temu — wspomina pani Błaszczykowa — zbieraliśmy na wodzie sieci. Nagle przyszedł wiatr zachodni. Łódź zalało. Motorek wpadł do wody. Na szczęście uczepiony był do liny...

Strachu się wtedy najedliśmy co niemiara.

Ale ja morze pokochałam. Tu zresztą innej pracy nie ma. Kto nie rybaczy, musi wyjechać. A wyjechać teraz, kiedy mamy piękną szosę, kiedy PKS dzieci do szkoły w Krynicy dowozi, kiedy zjeżdżają się letnicy... Niech pani przyjedzie wiosną. Posiedzi u nas dłużej. Zabierzemy panią łodzią na połów...

Góra piratów

NIECH PANI PRZYJEDZIE, jak będzie ciepło. Pójdziemy na Górę Piratów — obiecuje Krysia.

Jest taka legenda o Pirackiej Górze. Ale może to i prawda... W pół drogi z Piasków do Krynicy Morskiej podobno miell swoją wioskę piraci. Miejsce dogodne. Z jednej strony mogli łupić statki idące przez Zalew Wiślany, z drugiej, morzem... Aż przyszedł kiedyś cyklon straszliwy. Gonił piach przez całą mierzeję i wioskę piratom zasypał.

Kiedyś przejeżdżał tu jakiś pan aż z Krakowa... Pytał o tę górę. Mówił, że złota tam podobno dużo i innych bogactw pod piachem... Kto tam wie, może to prawda, może bajka.

— Dobrze im tak, tym piratom — mówię. — Na pewno o wydmy nie dbali. Nie okładali ich faszyną, wydmuchrzycy nie sadzili, łupili, zamiast uczciwie łowić ryby.

A na wiosnę przyjadę...

DŁUGOŚĆ MIERZEI WIŚLANEJ — licząc od Sztutowa do granicy państwa — wynosi od strony morza otwartego 49 km, a od strony Zalewu Wiślanego około 60 km. Szerokość pod Sztutowem (w miejscu najszerszym) dochodzi do 2,5 km. Jej powstanie wiąże się z prądem przybrzeżnym, który od wieków nanosił tu piasek i utworzył długi pas wydm.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Mireille

mała dziewczynka z wielkim głosem

MIREILLE MATHIEU. Mała, francuska dziewczynka, która wkroczyła do grona najsłynniejszych piosenkarek świata, bez żadnej wstępnej reklamy. Jej pierwszy, publiczny występ przed kamerami telewizji przyniósł jej ogromny sukces. A było to dnia 19 listopada 1965 roku. Właśnie zapowiedziano program, poświęcony wielkiej piosenkarce francuskiej — Edith Piaf. W studio nikt na nią nie zwracał uwagi. Byli inni — ważniejsi i słynniejsi. Stała w kącie — malutka (1,47 cm wzrostu) i szczuplutka, w szarej sukience z białym kołnierzykiem i czekała na sygnał reżysera.

Wreszcie przyszła kolej na nią. Miała zaśpiewać jedną z piosenek Edith Piaf.

Jeszcze w czasie jej występu w studio rozdzwoniły się telefony. Ludzie byli oczarowani jej śpiewem, pytali o nazwisko piosenkarki, jej wiek, prosili o przekazanie serdecznych pozdrowień, pragnęli, aby śpiewała dla nich tak, jak kiedyś czyniła to Edith.

Dziś na występ dziewiętnastoletniej Mireille czeka dosłownie cały świat. Jej płyty rozchodzą się w wielomilionowych nakładach. Ale mimo że zrobiła zawrotną karierę, jest nadal bardzo skromną dziewczynką o dużych, nieco skośnych oczach, i czarnych, gładkich włosach...

Od rana do wieczora

MIREILLE urodziła się 22 lipca 1946 roku, w uroczym miasteczku francuskim Avinion. Była najstarszą wśród trzynaściorga rodzeństwa, więc każdą wolną chwilę spędzała w domu. Wiadomo, trzeba było pomagać mamie: robiła zakupy, prała, prasowała, sprzątała, gotowała... jednym słowem, od rana do wieczora była zajęta. Niech zresztą sama opowie o swoich najmłodszych latach

„...Proszę sobie wyobrazić mieszkanie, w którym oprócz mamy i taty jest jeszcze trzynaścioro rozkrzyczanych dziewczynek i chłopców. To były moje młodsze siostrzyczki i braciszkowie. Byłam wśród nich najstarsza, więc pracy w domu miałam sporo. Rano codziennie biegiem po mleko. Proszę tylko nie myśleć, że wystarczał nam litr albo dwa. Wypijaliśmy dzień w dzień na śniadanie aż siedem litrów mleka, a zjadaliśmy od razu pięć kilogramów chleba, nie mówiąc już o ziemniakach. Na obiad gotowałyśmy z mamą ziemniaki w wielkim garnku — prawie tak dużym jak gar do gotowania bielizny... A propos bielizny. Raz w tygodniu, najczęściej w sobotę, robiłyśmy z mamą wielkie pranie. Cała kuchnia w tym dniu była pełna pary...

Wieczorem kładłam swoich maluchów spać. Pamiętam, nigdy nie miałam lalek. Nie chciałam! Lalkami w moim życiu były moje siostry. Ubierałam je rano, przebierałam w południe i rozbierałam wieczorem. Potem opowiadałam im bajki lub śpiewałam. Bardziej od śpiewu lubiły bajki... Ale proszę nie myśleć, że mama musiała mnie zmuszać do tej pracy. Naprawdę, kochałam swoje siostrzyczki i bawiłam się z nimi bez żadnego przymusu. Byłam im nianią i pielęgniarką. Naprawdę, proszę koleżanek. Mając dwanaście lat, znałam się na wszystkich dziecięcych chorobach. Wiedziałam, jakie lekarstwo stosuje się podczas przeziębienia, anginy... Na lekarza nie można sobie było u nas pozwolić.

Jak się uczyłam w szkole?...

Cóż — nie najlepiej. Dziś, mówię o tym z pewną niechęcią. Nie dawałam rady. Nie miałam warunków, aby się uczyć. Rodzeństwo zabierało mi czas potrzebny na odrabianie lekcji...

Mama o tym wiedziała. Czasem płakała po cichu, ale byliśmy biedni. Nie mogłyśmy sobie pozwolić na pomoc domową...

Mój tata jest robotnikiem. Wtedy był kamieniarzem. Przygotowywał kamienie na budowę drogi. Rozbijał młotami duże głazy na kostkę. Zawsze wychodził z domu rano i wracał późnym wieczorem. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Przygotowywałam ojcu ciepłą wodę do mycia. Mówił do mnie często: — Powinnaś jeszcze się uczyć, Mireille... Ale wiesz, matce trzeba pomóc... Rozumiałam ojca."

Muszę otrzymać pracę...

MIREILLE, ukończywszy szkołę podstawową, zdecydowała się zaraz iść do pracy. Była malutka i szczupła i, choć miała szesnaście lat, wyglądała wciąż na dwanaście. Ale o pracę dla młodziutkiej dziewczynki nie było łatwo. W miasteczku była wprawdzie duża fabryka papieru, ale pracowały tam dorosłe kobiety. Postanowiła jednak spróbować... Któregoś dnia poszła do dyrekcji. Stanęła przed drzwiami naczelnego dyrektora... Prawdę mówiąc, nie wierzyła w swoje szczęście, ale z drugiej strony chciała za wszelką cenę pomóc ojcu. Z jednej pensji trudno jest żyć... Po długim wahaniu zapukała... Weszła do obszernego pokoju, w którym siedziała jakaś pani.

— Chciałam rozmawiać z dyrektorem — oznajmiła Mireille.

— O co chodzi? — spytała sekretarka.

— Chcę pracować w fabryce.

— Dzieci nie przyjmujemy — usłyszała odpowiedź.

— Mam 16 lat!

Sekretarka popatrzyła na nią z uśmiechem, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zobaczyła w oczach dziewczynki łzy...

— Zamelduję cię — oznajmiła.

Po chwili stała już w w gabinecie. Stała przy drzwiach trochę wystraszona i blada. Gabinet był przestronny, bogato umeblowany...

— Podejdź — usłyszała głos dyrektora.

Szła po grubym dywanie bezszelestnie...

— Szukasz pracy?

— Tak.

— Ile masz lat?

— Szesnaście!

— W mojej fabryce nie pracują dzieci.

— Jestem już dorosła i muszę pracować. Muszę, muszę!

Wtedy się rozpłakała. Płakała po raz pierwszy w życiu żeby nie usłyszeć zdecydowanego słowa... „nie".

Została przyjęta. Dziś mówi, że to był jej wielki dzień. Mogła pomóc ojcu. Zdecydowała, że za pierwsze zarobione pieniądze kupi ojcu rękawiczki, matce szal, a rodzeństwu po czekoladzie.

Wpadła do domu jak bomba. Śpiewała, tańczyła, radowała się... Była szczęśliwa.

Płyty Editn Piaf

ZOSTAŁA ROBOTNICĄ w fabryce papieru. Rano pędziła do pracy, wracała późnym popołudniem i pomagała mamie.

W fabryce był klub robotniczy. Wieczorem zbierali się w klubie ludzie, słuchali muzyki, czasem tańczyli. Od czasu do czasu do klubu wpadała również Mireille. Któregoś dnia namówiono ją, ażeby zaśpiewała.

— Nie chcę. Wstydzę się! — wykręcała się jak mogła.

Nic nie pomogło.

— Zaśpiewaj, zaśpiewaj! — szumiała sala.

Zaśpiewała i otrzymała oklaski. To były oklaski przeznaczone dla niej...

Za pierwsze zarobione pieniądze kupiła wszystkim prezenty. Tata otrzymał rękawiczki, mama szal, rodzeństwo po czekoladzie, a sobie kupiła płytę z piosenkami Edith Piaf.

W domu był stary adapter. Wieczorem, w kuchni, puściła płytę. Edith Piaf śpiewała tak bardzo znane w świecie piosenki: piosenki o szczęściu; śpiewała swoim niepowtarzalnym, pięknym, charakterystycznym głosem...

Mireille słuchała oczarowana. Nie słyszała nawet, gdy do kuchni weszła mama. Płyta ucichła... Wtedy mama powiedziała:

— Mireille, ta pieśniarka ma głos taki sam jak ty!

— Ależ mamo — oburzyła się Mireille. — To jest Edith Piaf. Ona już nie żyje...

Od tego dnia Mireille co wieczór słuchała swojej płyty. Coraz częściej występowała też w klubie. Tam również wszyscy twierdzili, że jej głos jest głosem Edith.

Do klubu przychodzili też ludzie z całego Avinion. Chcieli słuchać Mireille, więc śpiewała, gdyż lubiła śpiewać. Piosenką usypiała do snu swoje siostry...

Raz zjawił się na jej występie Johny Stark. Opiekował się on już przedtem znanymi piosenkarkami, Françoise Hardy oraz Sylwią Verton. Głos Mireille uroczył go. Był taki podobny do głosu wielkiej Edith. W programie telewizji przygotowywano właśnie program o Edith. Mireille zaproponowano występ. Miała zaśpiewać jedną tylko piosenkę.

Resztę już wiecie. Zdobyła sławę. Dziś piszą o niej gazety. Estrady całego świata czekają na jej występy...

Jest ciągle małą, szczupłą dziewczynką o wielkim głosie. Jest też skromna i jakby zawstydzona swoim powodzeniem. Jak tylko może, przyjeżdża do swojego Avinion — do mamy, ojca, rodzeństwa...

★

Kiedy czytam o Mireille Mathieu, myślę, że prawdziwy talent nie wymaga nadzwyczajnych środków i zabiegów, ażeby został odkryty. Wiedzcie o tym, dziewczęta, które marzycie o wielkiej karierze.

Tajemnice PIRAMID

Tekst i rysunki
MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

Autor reportażu w cieniu egipskich piramid.

STOJĘ NA MURACH KAIRSKIEJ CYTADELI. Strzeliste minarety wielkich meczetów złoci jaskrawe słońce. U stóp obwarowań, rozciąga się aż do krańców horyzontu wielkie, białe miasto. Nad masą domów i meczetów, tam na zachodzie, rysują się sylwetki trzech tajemniczych, trójkątnych budowli — to piramidy.

Budowle te niepokoją i pociągają; udajemy się więc do nich, przyjrzymy się im z bliska..

Zacznijmy od historii

OKOŁO PIĘCIU TYSIĘCY LAT temu połączyły się w jeden organizm dwa kraje: Górny i Dolny Egipt. Dokonał tego legendarny faraon Menes. Jego następcy rozwijali potęgę Egiptu oraz własną. W wierzeniach ludu stawali się bogami, wzrastali więc w pychę. Każdy z królów zaraz po wstąpieniu na tron zaczął budować sobie grobowiec, wierząc iż swe królewskie panowanie przedłuży w nieskończoność. Jeden z faraonów Dżeser kazał swemu architektowi Imhatepowi zbudować piramidę, która stała się początkiem i wzorem tego rodzaju grobowców. Do dziś przetrwała ta imponująca budowla, tak zwana piramida schodkowa, wznosząca się na skraju pustyni w sakkarah. Otacza ją zespół świątynny i morze żółtych piasków, wśród których kryją się katakumby z mumiami arystokratów, byków-apisów oraz świętych kotów.

Za przykładem Dżesera, następcy jego zbudowali sobie równie wspaniałe grobowce. Oto dalej na południe od Medum widnieją dwie piramidy o dziwnych kształtach. Obydwie wzniósł faraon Snofru. Za nimi — grobowiec króla Sanachta, Fiopsa i innych. Na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, na zachodnim skraju pustyni, jest ich przeszło 60, różnej wielkości. Budowle te są wyrazem starej tęsknoty ludzkiej za nieśmiertelnością.

Jeden z „cudów świata"

LAT TEMU 4600 wstąpił na tron potężny Cheops. I on zaczął budować sobie grobowiec, ale ogromny, przewyższający wszystkie dotychczasowe groby swych poprzedników. Starożytni nazywali tę budowlę jednym z 7 cudów świata. Budziła ona lęk, podziw i zdumienie, tak przed tysiącami lat, jak zresztą i dziś. Kiedy w Egipcie zaczynali panowanie królowie, tzw. Nowego Państwa, około 1500 r. przed naszą erą, piramidy były już bardzo stare. Pielgrzymowali do nich starożytni: Babilończycy, Grecy, potem cesarze rzymscy, wodzowie arabscy, Napoleon, czy wreszcie turyści XX wieku.

Drugą, co do wielkości, jest piramida króla Hefrena, trzecią — grobowiec króla Mykerinosa, około 64 m wysoki. Wszystkie trzy budowle górują nad okolicą swoim ogromem, potęgą, tajemniczością.

Historyk grecki Herodot, który żył w V wieku przed naszą erą, oraz późniejsi, czy współcześni badacze podają szereg ciekawych danych, dotyczących budowy tych grobowców.

Okrutny król Cheops 20 lat budował swoją piramidę, a koszty jej budowy, przeliczając na nasze pieniądze, wyniosły setki milionów zł. Setki też tysięcy robotników i niewolników było zajętych przy wznoszeniu tych budowli.

Można sobie wyobrazić tych nieszczęśników toczących kamienie na okrąglakach po specjalnie zbudowanej drodze od kamieniołomów do piramid — długości 12 km. Palące promienie słońca, kije dozorców, pragnienie i choroby dziesiątkowały robotników. Zachowały się do dziś zapisy, ile chleba, cebuli i czosnku wydano robotnikom pracującym przy budowie.

Piramidy te są triumfem geniuszu i zręczności budowniczych. Oto kilka cyfr związanych z ich powstaniem.

Łączna masa piramidy Cheopsa wynosi 53 000 m sześc., wysokość 146 m. Każdy z boków kwadratu piramidy liczy 260 m, a ilość ociosanych bloków kamiennych — około 3 milionów. W głąb piramidy prowadzi korytarz dokładnie w kierunku osi ziemi. Pewien inżynier angielski stwierdził, że Egipcjanie, znający astronomię, obliczyli podstawę piramidy według rachuby czasu. Ziemia okrąża Słońce w ciągu 365,2522 dni. Otóż dzieląc podstawę piramidy przez tę liczbę dni otrzymamy 67,7, czyli dziesięciomilionową część promienia ziemi. Odległość między ziemią a słońcem wynosi 149 milionów km. Wysokość piramidy pomnożona przez milion, daje odległość między ziemią a słońcem. Ciężar piramidy wynosi 5 955 000 ton, a ciężar ziemi — bilion razy więcej. I jeszcze ciekawostka: gdy przez kwadrat piramidy przeprowadzimy przekątne — obejmiemy dokładnie deltę Nilu.

Piramida faraona Snofru

Uczony — detektyw

FARAONOWIE budując na wieczność te grobowce przeliczyli się srodze. Prawie wszystkie piramidy okazały się puste! Mumie królewskie wykradziono już w starożytności. Stwierdzili to nowożytni badacze, tacy, jak Brugsch czy Petrie. Przygody Petriego, niestrudzonego detektywa piramid, to sensacyjna powieść. Uczony, w towarzystwie Araba, usuwał olbrzymie sterty gruzu szukając wejścia.

Pomysłowość ludzi młodych i starszych jest wprost nieograniczona. Na przykład Anglik Graham Fulcher wybudował sobie w warsztacie oryginalny pojazd wodny, tzw. poduszkowiec. Próbne pływanie odbyło się na rzece Tamizie. Pokaz wzbudził wielkie zainteresowanie, a wehikuł osiągnął szybkość około 50 km na godzinę.

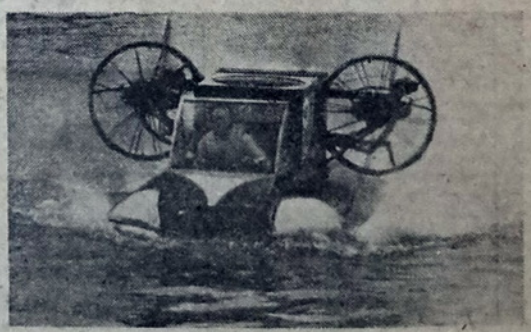

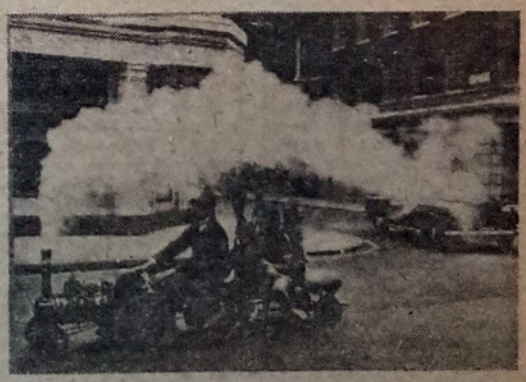

Na ulicach Londynu ukazała się niecodzienna lokomotywa z jednym wagonem. Lokomotywę tę zbudował sobie uczeń technikum. Na platformie może się zmieścić czterech pasażerów.

Kiedy po wielu tygodniach nic nie znalazł, zaczął szukać otworu z innej strony, osiągnął wreszcie wymarzone wejście. Czołgając się w tunelu, bez powietrza, usuwając ustawicznie gruz, uczony dotarł wreszcie do komory grobowej, która okazała się fałszywą. Zaczął więc na nowo poszukiwania. Tym razem znalazł sarkofag, ale pusty. Nie załamał się i szukał dalej. Przy okazji stwierdził, którędy starożytni rabusie dostali się do komory grobowej. Uparty uczony, pokonując trudy i niebezpieczeństwa, przeszukał i inne piramidy i przynajmniej stwierdził na podstawie napisów do kogo należały.

Korytarze w piramidzie były tak zbudowane, aby zmylić drogę rabusiom. Były tam ślepe tunele, fałszywe komory grobowe i głębokie studnie, w których znaleziono zeschnięte ciała złodziei. To nie odstraszało ryzykantów, celem ich były ogromne skarby, w które wyposażono zmarłego króla. Faraonowie, budując i wyposażając te olbrzymie grobowce, przeliczyli się, spekulując na wieczność; piramidy były zbyt wielkie, by nie zwrócić na siebie uwagi. Już w starożytności działały zorganizowane bandy, często w porozumieniu z kapłanami.

Straż nad pustynią

DO ZESPOŁU BUDOWLI GROBOWYCH należą jeszcze — świątynia Cheopsa i Wielki Sfinks, który „trzyma straż nad milczącą pustynią". Przed tysiącami lat rzeźbiarze wykuli w skale portret króla Chefrena z tułowiem lwa. Inni temu przeczą: może jest to tajemniczy symbol Egiptu, czy potęgi faraona, lub stwór związany z zapomnianą mistyką. Sfinks ten ma 20 m wysokości i około 60 m długości. Twarz jego jest nieco uszkodzona. Podobno Mamelucy egipscy ćwiczyli się w strzelaniu z armat do sfinksa... Przed niewielu laty, po wojnie, postanowiono zbudować drogę koło piramid do sfinksa. Kiedy robotnicy oczyszczali z gruzu teren, nagle oczom ich ukazała się głęboka czeluść. Inżynier, kierujący robotami, zajrzał do wnętrza... W ogromnej wykutej w skale komnacie spoczywała łódź długości 50 m. Według wierzeń starożytnych Egipcjan łódź święta służyła faraonowi do jego codziennych wędrówek ze wschodu na zachód. Król po śmierci łączył się z bogiem słońca Re i odbywa tę samą codzienną podróż co bóg na słonecznej barce. Stąd piramidy budowano na zachodniej stronie Nilu, wykorzystując tylko pustynię.

W listopadzie bieżącego roku odwiedziłem znowu piramidy. Udało mi się „wtargnąć" do grobowca króla Chefrena. W zadumie stanąłem nad pustym sarkofagiem wykutym z olbrzymiej bryły granitu. Pochowano go tu 4600 lat temu... Minęły tysiąclecia, burze dziejowe, całe epoki, a piramidy stoją i stać będą, długo, świadcząc o geniuszu starożytnych Egipcjan.

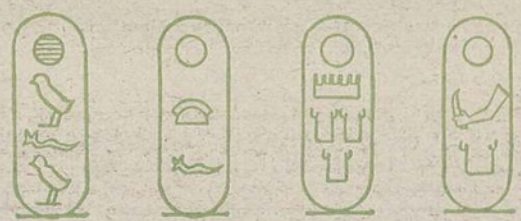

Oto imiona 4 sławnych faraonów, budowniczych piramid, napisanych w hieroglifach. Od lewej po staroegipsku: Chufu, Haf-Re, Men-Kan-Re, Dżeser; to samo po grecku: Cheops, Chefren, Mykerinos, Dżeser.

Na ogół dobrze wiadomo, iż piąte koło w każdym pojeździe jest zbędne. Na zdjęciu jednak wyraźnie widać, że piąte koło w samochodzie marki „Volkswagen" zabezpiecza kierowcę na ostrych wirażach. Na pomysł wmontowania piątego koła wpadł jego właściciel — mieszkaniec Berlina. Koło wysuwa się w bok tylko wtedy, jeśli samochód bierze ostry wiraż. Bezpieczeństwo jazdy, oczywiście na zakrętach, jest zapewnione, a kierowcy nie grozi wywrotka.

W NASTĘPNYM NASZYM PODWÓJNYM NUMERZE, który ukaże się w kioskach zaraz po świętach, będziecie mogli rozwiązać wielką krzyżówkę PZU i wziąć udział w losowaniu cennych nagród.

Ponadto, znajdziecie wiele ciekawych reportaży z kraju i z zagranicy, dowiecie się o działalności harcerskiej poczty polowej w czasie powstania warszawskiego, przeczytacie opowiadanie kryminalne pt.: „Ostatni atak Starego Rekina", poznacie wielu ciekawych ludzi...

Moje muzeum

Moneta z I w. p.n.e.

CHODZĘ DO ÓSMEJ KLASY. Monety zacząłem zbierać już w trzeciej klasie i w miarę upływu czasu zbiór mój się powiększał. Oprócz monet zbieram także banknoty. Najstarsza moja moneta pochodzi z I wieku przed naszą erą. Jest to ołowiana moneta palestyńska. Tyle wiem o niej z encyklopedii. Mam również dukat węgierski z roku 1594. Parę monet w moim zbiorze pochodzi z czasów Jana Kazimierza. No i oczywiście mam całe mnóstwo monet z XVIII i XIX wieku. Monety moje pochodzą z wielu krajów Europy i świata. Do osobliwości należą monety z dziurkami i ząbkowana moneta egipska.

Moim najstarszym przedmiotem (nie licząc oczywiście monet) jest część jakiegoś odlewu z ołowiu przedstawiająca głowę i obok napis: „Ks. J. Poniatowski".

STASZEK
z Makowa Mazowieckiego

To tylko część listu naszego kolegi z Makowa. Wymienia on jeszcze wiele niecodziennych przedmiotów ze swojego ciekawego muzeum. Nie wątpimy, że uda mu się rozwiązać tajemnicze zagadki, jakie „stawiają" mu stare przedmioty. Bo przecież wiadomo, że im mądrzejszy jest człowiek, tym więcej potrafi odczytać z pozornie milczących starych monet, dokumentów zapisanych nienanym pismem, szczątków różnych przedmiotów. Tak właśnie zdobywa się informacje do „budowania" poważnych nauk: historii i archeologii. (wk)

Szkolne muzeum

Zakładamy w naszej szkole muzeum. Gromadzimy tam ciekawe przedmioty, które dotychczas leżały w domach — jeżeli oczywiście nasi rodzice, lub właściciele tych przedmiotów zgadzają się na to.

Mamy więc stare książki, zeszyty rodziców, stare pieniądze, szczątki znalezionych na polach garnków glinianych, dwojaki, lichtarze, małe ozdoby, nawet szable. Mamy też różne pamiątki, np. orzełki wykute z blachy. Niekiedy są to bardzo smutne pamiątki, jak znaczek z literą „P", jaki nosili Polacy w obozach koncentracyjnych. Są również w naszym muzeum plakaty i afisze ruchu oporu, partyzanckie.

Wszystkie te przedmioty pozostawione w domach — prędzej czy później, uległyby zniszczeniu. W szkolnym muzeum są bezpieczne.

Wielka korzyść jest z naszego muzeum. Pomaga nam często na lekcjach historii.

Niektóre z tych przedmiotów — dajmy na to dwojaki — trudno zobaczyć już w naszych domach. Są tylko w muzeach.

Opiekunem naszego muzeum jest kierownik szkoły.

GRZEGORZ
z woj. warszawskiego

Zam. 1748. T-47

NANCY JANE WALDO

RYS. B. RUTKOWSKA

muzyka płynąca z serca

BIMBO, nie mógłbyś się pocić, zamiast tak dyszeć — spytałam — odbywałoby się to dużo ciszej. Nie odpowiedział. Bimbo to pies. Może to obraźliwe stwierdzenie dla kogoś o tak ludzkich odruchach, ale, niestety, prawdziwe — Bimbo nie umie mówić.

Był bardzo gorący sierpniowy dzień. Moja matka w cieniutkiej bluzeczce w żółto-szare paski wyglądała tak chłodno jak cytrynowe lody, a ja byłam spalona na raka. W dodatku, ponieważ nie wyprasowałam kretonowej sukienki, miałam na sobie sztruksową, której nie lubiłam.

Gdy zajechałyśmy przed szkołę, w cieniu drzew siedziało trzech chłopców. Moja sztruksowa sukienka wydała mi się jeszcze gorsza, gdy okazało się, że jednym z tych chłopców jest Robert.

Beatlesi i inni sławni ludzie mogą dla mnie nie istnieć. Wiem za to z całą pewnością, że jeżeli Robert nie spojrzy w moją stronę, to chyba umrę. A jeżeli spojrzy, to też zapewne umrę. Robert nie jest ani sportowcem, ani przewodniczącym klasy, ani nikim nadzwyczajnym. Zawsze nosi czyste koszule, a twarz myje tak często, że aż mu policzki błyszczą. Nie smaruje włosów brylantyną i gra pierwszą trąbkę w orkiestrze szkolnej.

Mama zatrzymała samochód tuż przed chłopcami i wysiadłyśmy. Omal nie upadłam, bo patrzyli na mnie, ale szybko uratowałam swój honor, odwracając się, by zamknąć okno w samochodzie.

— Uderzyłaś się, Ellen? — zapytał jeden z tych nieciekawych chłopców siedzących obok Roberta.

— Ależ skąd! — odpowiedziałam wyniośle. — Serwus, Robert! Przyjechałam, żeby wybrać instrument. Zapisuję się do orkiestry w tym roku.

— To świetnie, Ellen — odpowiedział z takim entuzjazmem, jakby się dowiedział przed chwilą, że ma odprowadzić do szkoły swoją młodszą siostrę.

Zignorowałam tę odpowiedź i skoncentrowałam się całkowicie na moim najnowszym marzeniu, w którym pan Ball, nauczyciel muzyki, dał mi partię solową na trąbkę. Wstaję ubrana w zielono-złoty kostium, jaki noszą członkowie orkiestry i... wspaniałe dźwięki wydobywające się z trąbki oczarowują publiczność. Z wszystkich stron rozlegają się głośne okrzyki: — Brawo! — nagle poruszenie na sali. Louis Armstrong unosi się ze swojego krzesła i bardzo przejętym głosem pyta:

— Czy rodzice zezwolą tej dziewczynce podróżować?

Dopiero popchnięta przez matkę oprzytomniałam i weszłyśmy do muzycznej klasy. Oświadczyłam panu Ball, że chciałabym grać na trąbce. Podał mi trąbkę i powiedział:

— Spróbuj.

Mimo że bardzo długo i cierpliwie objaśniał, co powinnam zrobić, nie udało mi się wydobyć dźwięku. Potem zabrał trąbkę i spojrzał poważnie:

— Ellen, dużo dziewcząt nie może grać na trąbce z powodu układu ust i brody. Takie dziewczęta powinny grać na flecie!

MUZYKA ELLEN RZECZYWIŚCIE PŁYNĘŁA Z SERCA, LECZ NIE NADAWAŁA SIĘ DO SŁUCHANIA.

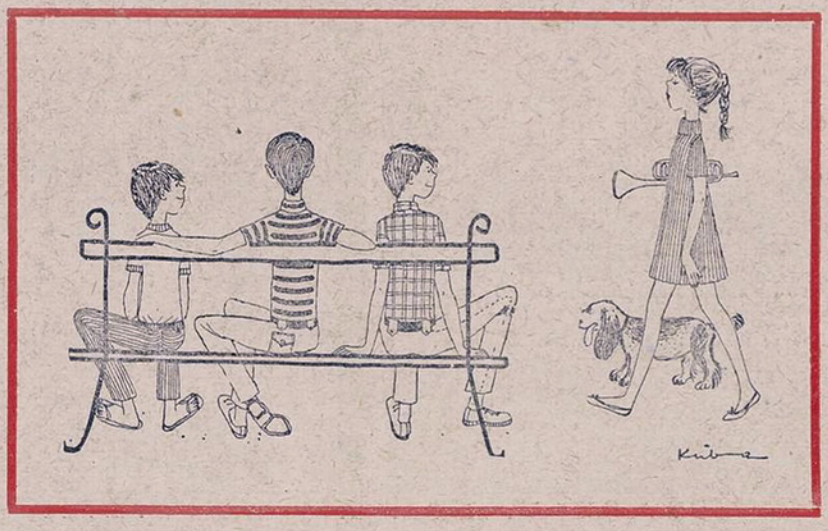

Na flecie! Przypominało mi to „Odę do greckiej urny" lub coś w tym rodzaju. A poza tym ani jeden chłopiec w szkolnej orkiestrze nie grał na flecie.

— Czy to znaczy, że nigdy nie nauczę się grać na trąbce, bez względu na to, jak będę się starała?

— Nie mówię, nie. Ale ostrzegam, że będzie to bardzo trudne.

— Wszystko, nad czym warto pracować, jest trudne.

Profesor Ball wzruszył ramionami i gdy wyszłam, zwrócił się do mojej matki:

— Zwykle ci, którzy nie mają poczucia rytmu, chcą grać na perkusji.

Nie mam o to żalu, bo nie powiedział tego przy mnie, a jak się podsłuchuje, to nie można się obrażać. Zdecydowałam, że zrobię profesorowi niespodziankę na pierwszej lekcji. Do rozpoczęcia roku zostało jeszcze dwanaście dni i postanowiłam nie tracić ani minuty. Wiedziałam, że nikt nie może zostać prymusem w ciągu dwunastu dni. To by było śmieszne. A zresztą nie chciałam być najlepsza. To było miejsce Roberta. Chciałam być tylko pierwszą po nim.

Jedyna rzecz, jakiej nie przewidziałam, to kłopot ze znalezieniem miejsca do ćwiczeń. Kiedy uczyłam się grać na pianinie, nigdy nie było żadnego problemu. Ale za każdym razem, gdy brałam do ręki trąbkę, rodzinne więzy wyraźnie się rozluźniały. Ojciec regularnie chodził grać w kręgle, matka odwiedzała znajomych, a Bimbo — mój wierny dotychczas, przyjaciel, zrywał się z krzesła, na którym do tej pory spał, i udawał, że natychmiast musi być wypuszczony.

Siedziałam więc w opustoszałym domu, czytałam wskazówki z podręcznika, układałam wargi tak, jak należało, i dmuchałam z całej siły. Po pierwszych dwóch, trzech minutach, kiedy już miałam nadzieję, że następne dźwięki wypadną lepiej — dzwoniła sąsiadka:

— Czy wszystko u was w porządku, Ellen? Wydawało mi się, że słyszałam strażacką syrenę.

Albo:

— Zajmij się swym psem, kochanie! Wydaje mi się, że coś mu się stało.

A ja za każdym razem tłumaczyłam, że to już potrwa niedługo, że wkrótce wszyscy będą słuchali mnie z przyjemnością.

Pod koniec tygodnia grałam już całą gamę, bez specjalnych zgrzytów i jęków i zaczynałam ćwiczyć fragmenty piosenek. Potrzebny był mi jednak ktoś, kto by ocenił moje wysiłki, ale, jak zwykle — w domu nie było żywego ducha.

— Co to za melodia? — zapytałam moją matkę, gdy raz przypadkowo przyszła do domu.

— „Diana"? — zapytała z wahaniem.

— No wiesz, mamo! — westchnęłam. Czy wydaje ci się, że „Diana" w czymkolwiek przypomina „Only you". Nikt się w tym domu nie interesuje sztuką! To nie jest kulturalny dom!

— Co do sztuki powiedziała — to zostawiłaś sztukę mięsa z obiadu na stole i nie schowałaś do lodówki.

Schowałam mięso, oparłam się o lodówkę, przypomniałam sobie jedno z moich ostatnich marzeń. Oto zdejmuję maskę chirurgiczną, uśmiechem uśmiechem pełnym ironii i wyciągam ręce w stronę rzędów szlochających w poczekalni szpitala:

— Wasze dziecko będzie żyło — mówię skromnie.

— Niech Bóg błogosławi panią doktór — płaczą. — Niech niebo panią wynagrodzi, bo my nie mamy pieniędzy.

— Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia — powiedziałam to tym razem, niestety, na głos i usłyszałam odpowiedź ojca:

— Bardzo mnie to cieszy, bo dziś właśnie wypłacam ci kieszonkowe i miałem taki niegodny plan, aby dać ci małą podwyżkę zamian za ten jeden wieczór ciszy. Ale w związku z tym, że pieniądze nie mają dla ciebie znaczenia, chyba nie będę cię musiał przekupywać!

— Dobrze, tatusiu — mruknęłam zrezygnowana.

Wzięłam trąbkę i z swojego pokoju i bezgłośnie ćwiczyłam w lustrze różne pozycje. Muszę jednak przyznać, że bardziej jestem podobna do złotowłosego pazia z trąbką niż do trębacza jazzowego. To powoduje kłopot. Wcale nie wyglądam interesująco. Taka zwykła, przeciętna dziewczyna.

Zwykła, typowa... z wyjątkiem jednej rzeczy, o której nikomu nie powiem. Nie umówiłam się jeszcze nigdy z chłopcem. Piętnaście lat i taka kompromitacja! Nikt, oczywiście, o tym nie wie. Spotykałam się już z chłopcami i dla innych wygląda to jak randka. Na przykład Bobby Chodzi ze mną czasem na szkolne zabawy, ale tylko dlatego, że boi się dziewczyn, a ze mną czuje się zupełnie bezpiecznie, co tylko dowodzi, że... inni chłopcy też odprowadzali mnie do domu ze szkolnych uroczystości. Ale nawet przy dużej wyobraźni nie można by tego nazwać spotykaniem się. To nie prawdziwym. Nikt nie chce tylko wyłącznie towarzystwa mojej osoby. Mnie nawet nie zależy, żeby to trwało długo. Chcę tylko, by Robert umówił się ze mną kilka razy.

Wiem, że wszystko robię nie tak, jak trzeba. Nie powinnam mieć takich dobrych stopni. Ale co ja mam innego poza nauką? Czułabym się jak idiotka udając, że nie znam odpowiedzi, którą znam. Zostałam wybrana skarbnikiem klasowym, bo na mnie można polegać. A niesolidne dziewczęta zawsze mają dużo więcej przyjemności. W zeszłym roku, kiedy Carol zapomniała zamówić parówki na szkolny piknik, to chłopcy tylko się śmiali i obwozili ją po wszystkich mięsnych sklepach w całym mieście, aż kupiła tyle, ile było potrzeba. Tylko na tym skorzystała!

Mówią — dowiedz się, czym chłopcy się interesują. Akurat! Ojciec załatwił mi lekcje tenisa, ale ten jeden jedyny raz, gdy miałam okazję zagrać z Robertem — wygrałam z nim. Chciałam się zabić. A potem była wystawa naukowa. Robert zrobił tranzystor i to było dużo lepsze od mojej kolekcji motyli, ale gdy zjawiła się komisja oceniająca, tranzystor przestał działać — i znowu ja wygrałam. Gdybym się mogła zapaść wtedy pod ziemię!

Pierwszego dnia w szkole dowiedzieliśmy się, że orkiestra będzie się zbierała w świetlicy. Nie bardzo rozumieliśmy, dlaczego. Profesor Ball natychmiast nam to wytłumaczył:

— Gdy rozejrzycie się naokoło, zorientujecie się łatwo, że wasza grupa wyraźnie się powiększyła — zaczął. — Jest wśród was kilku utalentowanych muzyków, wielu dobrych muzyków, kilka pomyłek i spora grupa początkujących, o których nic jeszcze nie można powiedzieć. Ponieważ jest was zbyt dużo w tym roku, mam zamiar podzielić was na dwie grupy.

Zrobiło mi się zimno.

— Będziemy mieli orkiestrę A i B — mówił dalej profesor. — Wydaje mi się, że byłoby niesprawiedliwie przeprowadzić ten podział od razu. Nastąpi to dopiero po miesiącu, w ciągu którego zorientujemy się, kto do jakiej grupy się nadaje. A teraz proszę otworzyć niebieskie książeczki na stronie czternastej i możliwie dokładnie odtworzyć zapis nutowy. Trąbki ustawiają się po prawej stronie, drewniane instrumenty po lewej, flety...

Rozległ się potworny hałas przestawianych krzeseł, i strojonych instrumentów. Po chwili profesor Ball uniósł do góry pałeczkę i zaczęliśmy. Był to łatwy fragment i składał się tylko z czterech linii. Och, gdybyście usłyszeli ten potworny harmider! Jak to możliwe, żeby orkiestra tak hałasowała! A przecież ile razy siedziałam w pierwszych rzędach na koncertach, muzyka wydawała mi się taka piękna.

Gdy uciszyło się, profesor otarł czoło chusteczką i zwrócił się do trąbek:

— Gratuluję. Wyprzedziliście wszystkich o dwa takty.

Czułam się okropnie, bo bez względu na okropny hałas, który rozlegał się naokoło, słyszałam każdą nutę graną przez siebie. Wydawałam dźwięki podobne do ryków dinozaura, który, wdepnąwszy w smołę, wzywa pomocy. Robert siedział tylko o dwa miejsca dalej. Tak blisko, że widziałam nawet, jakie ma czyste paznokcie. A jeżeli on mnie słyszał?! Mam nadzieję, że nie.

Następnego dnia było tak samo, a właściwie jeszcze gorzej. Nasz profesor chodził naokoło i słuchał. Gdy zatrzymał się przy trąbkach, udawałam tylko, że gram. Oprócz nowych, było między nami co najmniej dziesięciu dobrych trębaczy z zeszłego roku i pocieszałam się, że wszyscy razem powinni zagrać tak głośno, jakbym i ja z nimi grała. Tego dnia po lekcji, Robert wyszedł z Carol, która naturalnie grała na flecie. Sprawiał wrażenie, jakby miał jej masę do powiedzenia. Jak ona to zrobiła? Robert jest zawsze taki spokojny, a gadał z nią jak opętany.

Minął miesiąc... Nie zrobiłam żadnych postępów, orkiestra też chyba niewielkie.

— Jutro poćwiczymy jeszcze raz kankana — powiedział, któregoś dnia profesor Ball. — Flety obiecały zatańczyć.

To był żart i wszystkim się szalenie podobał. Carol wstała i kłaniała sie na prawo i lewo.

— A ponieważ — ciągnął dalej profesor — moje uszy są już u kresu wytrzymałości, wyjdziemy przed szkołę i będziemy uczyć się maszerowania.

Sposób, w jaki szliśmy, też mu się nie podobał.

— Nie gasicie przecież palącej się trawy! — krzyczał. — Nie ubijacie kapusty! Lewa! Lewa!

Komenda na zatrzymanie brzmiała: „Orkiestra, dwa, trzy, cztery, stój, raz, dwa!" Za pierwszym razem trzy dziewczyny upadły, potykając się o własne nogi. Ja byłam jedną z nich. Jakiś chłopiec delikatnie mnie podniósł. Zawstydzona, wymamrotałam „dziękuję", nie mając odwagi spojrzeć na niego.

Dopiero, gdy wracał na swoje miejsce, zobaczyłam, że to był Robert. Zaczerwieniłam się okropnie. Gdyby Carol była na moim miejscu, to by dopiero było przedstawienie! Patrzyłaby mu w oczy i dziękowała tak wylewnie, że wszyscy by mieli tego dosyć. A ja, nawet nie zauważyłam od razu, że to był Robert.

Tego wieczoru nie miałam ochoty ćwiczyć. Moja wyobraźnia też mnie zawiodła. Po chwili do drzwi zapukał ojciec:

— Proszę.

Wszedł i usiadł obok mnie.

— Brak nam było muzyki — zaczął.

— Tak, jakby można odczuć brak czegoś, co wali człowieka w głowę! — powiedziałam gorzko.

— Wszystko u ciebie w porządku?

— Tak, czuję się świetnie — odpowiedziałam ironicznie. — Nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie będę w orkiestrze B, razem z nowicjuszami i tymi tumanami, którzy nie uczyli się muzyki.

— Będzie ci chyba bardzo ciężko — przyznał. — Co chcesz, żebym zrobił?

— Pozwól mi zrezygnować.

Przez chwilę milczał.

— To chyba nie jest najlepszy pomysł — powiedział w końcu. — Umawialiśmy się przecież, że jeżeli raz coś zaczniesz, to i dokończysz. Prawda?

Musiałam przyznać mu rację.

— Twoja matka miała podobne kłopoty z prowadzeniem domu. Najlepsza studentka na wszystkich innych zajęciach, a nie umiała wypatroszyć kurczaka, ani czegokolwiek uszyć.

— I co zrobiła? — zapytałam, niezbyt zainteresowana.

— Męczyła się, ale bardzo się starała — powiedział śmiejąc się. — Przez pół roku chodziła w sukni z jednej strony dłuższej, tylko dlatego, że nie chciała przyznać, że źle zaobrębiła spódniczkę. A później dostała jedną z nagród za artykuł konkursowy na temat: „Jakie znaczenie ma dla mnie gospodarstwo domowe".

Teraz zainteresowałam się.

— No i co napisała?

Ojciec wzruszył ramionami.

— Prawdę. Że była to jedyna rzecz, która kosztowała ją tyle wysiłku. I dlatego tak to sobie ceni.

— Mimo że to przyniosło jej tyle upokorzeń? — spytałam.

— Tak.

Wstałam, wyjęłam trąbkę z pokrowca i zaczęłam ćwiczyć. Ojciec natychmiast wyszedł. Bimbo chciał pójść za nim, ale gdy zobaczył moją minę, zawrócił i położył się pod łóżkiem samotnie, kładąc pysk między obie łapy.

Dokończenie na str. 12

Zakochani w teatrze

ALICJA WIELGOŁAWSKA

„Pewny jestem, że naczelnym zadaniem teatru było, jest i wiecznie będzie — niezależnie od biegów historii — przede wszystkim wzruszać i przez wzruszenie uczyć. Bo żeby nauczyć, trzeba koniecznie kochać zarówno przedmiot nauczania jak i samego ucznia. Przez wiele lat, usiłując nauczyć młodzież opanowania naszej skomplikowanej sztuki aktorskiej, zawsze i wszędzie starałem się uczyć ich przede wszystkim — kochać teatr"...

...TAK ZWYKŁ MAWIAĆ wielki aktor, reżyser, profesor Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie, nieżyjący już dziś, Aleksander Zelwerowicz.

Pod jego mądrą i światłą opieką wzrastało i kształciło się całe grono studentów, którzy, jak i ich profesor, „połknęli" bakcyl teatru i sztukę umiłowali równie mocno.

Wielu z tych dawnych studentów i uczniów Zelwerowicza stało się dziś sławnymi aktorami. Do jednych z nich należy popularny i ogólnie lubiany aktor charakterystyczny — Jarema Stępowski. Jego występy w radiowym „Podwieczorku przy mikrofonie", „Karuzeli Warszawskiej", w programach TV, w licznych koncertach estradowych, czy ostatnie nagrania płytowe — zjednują mu stale nowe rzesze sympatyków.

Jarema Stępowski wiele zawdzięcza swemu profesorowi. Wspomina go ze wzruszeniem i serdecznością.

— To był człowiek o wielkiej mądrości i dobroci serca. Swoją dobroć ukrywał często pod maską rubaszności i szorstkości, ale widzieliśmy, że żadna nasza troska nie jest mu obca. Za jego umysł, za jego wielkie serce kochaliśmy go jak ojca.

„Gdzie złamał tę nogę?"

NASZ PROFESOR „Zelwer" lub „Stary", jak nazywaliśmy go w naszym gronie, był piekielnie punktualny — opowiada Jarema Stępowski. — Gdy ktoś z nas spóźniał się na wykład, wszyscy łącznie z profesorem czekaliśmy na niego w groźnej ciszy. Biedny był taki spóźniony delikwent, który odważył się wejść na salę.

— Przedstawienie w teatrze zaczyna się o godz. 7 i widzów nic nie obchodzi, że tramwaj, którym jechał aktor, właśnie się spóźnił — grzmiał tubalnym głosem profesor. I miał rację. Dzięki takiemu reżimowi raz na zawsze wyzbyliśmy się tej brzydkiej wady, jaką jest niepunktualność.

— Sam na własnej skórze doświadczyłem gniewu „Zelwera", gdy spóźniłem się na wykłady. Przyczyna była co prawda dość ważna, bo... złamałem nogę. Kilka dni nie przychodziłem na wykłady, ale wreszcie, jeszcze z nogą w gipsie, zjawiłem się pełen obaw w sali wykładowej. „Zelwer" nie dostrzegał mnie przez dwa tygodnie. Wreszcie zawołał mnie do swego gabinetu i mówi:

— Przede wszystkim tylko ostatni cymbał jeździ na nartach, po drugie mógł przewidzieć, że się to stanie (w chwili gniewu profesor zawsze się zwracał do nas w formie bezosobowej), po trzecie, gdzie tę nogę złamał?

Czując, że złość mija naszemu „Staremu", czym prędzej podwijam nogawkę, pokazuję na gips, że tu, a tu właśnie, jest złamanie, że goleń... że kość, ale „Zelwer" przerwał:

— Ja się nie pytam, gdzie złamał tę nogę, tylko GDZIE złamał tę nogę?

Nim zorientowałem się, że profesorowi chodziło o teren w Zakopanem, na którym zdarzył mi się ów wypadek — sytuacja uległa rozprężeniu.

W rezultacie profesor pokrył za mnie koszt leczenia, woził mnie taksówkami i opiekował się mną jak najczulsza matka, dopóki nie porzuciłem gipsu i kul. Taki już był. Niby szorstki, zagniewany, a dobry, jak mało kto.

Dwóch baranów z harmonią

PROFESOR MÓWIŁ NAM CZĘSTO, że dobry aktor powinien stale się sprawdzać przed publicznością. Dla niej przecież gra i jej reakcja liczy się najbardziej. Pomyślałem więc, żeby wprowadzić w czyn te dobre rady „Zelwera". Ale że zawsze byłem skory do kawałów, postanowiliśmy z kolegą „sprawdzić" się u samego profesora.

„Zelwer" codziennie z wykładów wracał tym samym tramwajem. Śledząc go, wsiedliśmy za nim do tego samego wagonu i, wyjmując zza płaszcza harmonię, zaczęliśmy grać i śpiewać żołnierskie piosenki, udając... żebraków. Potem obeszliśmy wszystkich pasażerów z kapeluszem w ręku, nie zapominając oczywiście stanąć i przed „Zelwerem". Udał oczywiście, że nas nie poznał, ale w kapelusz wrzucił 100 zł.

Nazajutrz czekaliśmy na wyrok. Zdawaliśmy sobie sprawę, że chyba nieco „przefajnowaliśmy" i profesor da nam teraz „szkołę".

Wszedł na salę i zaczął tak:

— Wczoraj spotkałem w tramwaju dwóch baranów grających na harmonii. Jak myślicie, kto to był?

Potem okazało się jednak, że „Zelwer" uznał nasz akt odwagi za moment bardzo dodatni w przyszłej aktorskiej karierze i zakończył mniej więcej tak::

— Aktor, to ktoś, kto stale udaje nie tego, kim jest naprawdę. Być stale kimś innym i to tak sugestywnie, by inni uwierzyli w tę odmienioną postać — to jest prawdziwe aktorstwo. I kto potrawi tego dokonać, ma przyszłość przed sobą.

„Żaba i wół"

JAK BARDZO ZELWEROWICZ rozumiał sztukę aktorską jako zdolność przeistaczania się w coraz to inną postać, niech świadczą jego własne wspomnienia:

„Byłem zaledwie uczniem II klasy, gdy zadano nam do recytacji jedną z bajek Kryłowa, „Żaba i wół". Uważałem, że skoro mam prowadzić dialog dwóch różniących się od siebie istot, muszę swoim głosem naśladować raz skrzek żaby, raz ryk wołu.

W klasie zostałem „wyrwany" do odpowiedzi i przekonany całkowicie o słuszności moich spostrzeżeń, tak „wyrżnąłem" tekst, że cała klasa pokładała się ze śmiechu. Skończywszy bajkę i zamaszyście szurnąwszy nogą, zerknąłem w kierunku profesora, sądząc, że wywołałem u niego najwyższy zachwyt. A on, zielony z wrażenia, wpisał mi do dziennika pałkę, po czym wygłosił taką sentencję: „Pamiętaj, Zelwerowicz, że szkoła to nie teatr".

Dziś z perspektywy 65 lat w najgłębszym moim przekonaniu mógłbym odpowiedzieć mojemu ówczesnemu pedagogowi::

— Mój łaskawco, szkoła jest akurat na tyle teatrem, na ile teatr jest szkołą. Bo faktem jest chyba, że nikomu z ludzi nie wystarcza bieg jego własnego życia; zawsze chcielibyśmy przeżywać znacznie więcej rzeczy ciekawszych, aniżeli te, którymi obdarza nas los. Ten głód wrażeń jest tym potężniejszy, im bardziej kulturalny jest dany człowiek. I ta właśnie siła jest motorem, która pcha widza do teatru, do słuchania pięknej muzyki, do oglądania obrazów, rzeźb, architektury, przyrody albo do czytania interesujących książek. Wszystkie te cudze

Aleksander Zelwerowicz

przeżycia wzbogacają naszą fantazję, zaspokajają głód wrażeń i pozwalają żyć wyobraźnią, której przecież tak niewiele jest w naszym codziennym życiu. I w tym sensie teatr jest szkołą, a szkoła powinna być teatrem naszego życia".

Uczeń godny mistrza

JAREMA STĘPOWSKI do dziś nie rozstaje się z programem teatralnym, na którym profesor Zelwerowicz napisał mu taką dedykację: **„Panu Jaremie Junoszy-Stępowskiemu, spadkobiercy wielkiego imienia (Kazimierz Junosza - Stępowski sławny przedwojenny aktor filmowy był stryjem dzisiejszego Jaremy Stępowskiego) i godnemu kandydatowi do grona ludzi teatru ten arkusik mojego życia podpisuje — oddany Zelwerowicz".**

Uczeń nie zawiódł swego mistrza. Stał się znanym aktorem i ulubieńcem publiczności. Ostatnio po udanym debiucie piosenkarskim nagrał swój pierwszy longplay: „Szemrane tango", a wkrótce ukaże się jego następna płyta „Księżyc fraier" z dziewięcioma najnowszymi piosenkami. Słynne już monologi Stępowskiego takie jak: „Typki warszawskie", „Sprzedawca piesków", czy „Człowiek z kwiatkiem" znane są nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie aktor bawił już trzykrotnie i niebawem wybiera się tam po raz czwarty. Ale jeszcze przedtem, 9 grudnia, zobaczymy go w telewizyjnym „Tele-Variete".

Jarema Stępowski, tak jak i jego profesor, ukochał teatr, a możność dawania wzruszeń ludziom jest dla niego prawdziwą satysfakcją zawodową.

Jarema Stępowski zamierzał być lekarzem, nie wojna przekreśliła te plany. Podczas okupacji zarabiał na chleb prowadząc na Wróżej skup butelek i szmat. Potem naprawiał maszyny do pisania. Stąd pewno wzięła się umiejętność znalezienia wspólnego języka z robociarską bracią Woli. Powiśla, Czerniakowa. Dziś Jerema Stępowski, jak nikt inny z aktorów, potrafi się wcielić w postać warszawskiego cwaniaka.

Foto: Henryk Bietkowski i CAF

OSTRY DYŻUR „Świata Młodych"

WACŁAW BISKO

JEST JUŻ WIECZÓR, a ty masz powyżej uszu odrabianie lekcji. Nie bardzo Cię ciągnie do książek, nawet tych najciekawszych.

Coś Cię „nosi". Wychodzisz na spacer z psem, ale nie zajmujesz się nim zbytnio, choć — Twoim zdaniem — „bydlę jest poczciwe". Spotykasz koleżankę, ale rozmowa jakoś się nie klei: „Dobry wieczór, co słychać, ładna pogoda, dobranoc" itp.

Patrzysz na śnieg pod nogami, na ślady stóp na śniegu i ślady psich łap, patrzysz z zewnątrz

w okno własnego mieszkania. Świąteczna choinka, którą sam przystroiłeś, wydaje Ci się jakaś taka mniej ważna niż kiedyś.

Dzieje się w Tobie coś ważniejszego.

Coś Cię „nosi". Wracasz do domu i kusi Cię niezapisany zeszyt. Zasłyszana gdzieś piosenka, zapamiętane wydarzenia dnia nie dają Ci spokoju. Bierzesz ołówek do ręki i udając odrabianie lekcji piszesz:

W zapomnianym miasteczku
stoi ciemna latarnia,
mrok się skrada zdradziecko
i latarnię ogarnia.
A tu jakby na kpinę
stary księżyc z wysoka
potarł chmurą łysinę
i spogląda spod oka...

Tak oto powstał początek Twojego pierwszego wiersza. Wzruszasz się i jest Ci jakoś lżej. Nie wiesz jeszcze, czy ten wiersz będzie coś wart. Piszesz go w wielkiej tajemnicy, ale korci Cię, żeby go komuś pokazać, dać do przeczytania, albo samemu jeszcze raz przeczytać.

W tym samym czasie, gdzieś daleko, nie znany Ci kolega dopisuje trzeci rozdział swojej powieści, którą też pisze w wielkiej tajemnicy, a gdzie indziej równa Ci wiekiem koleżanka pisze w pamiętniku: „Dziś miałam dobry dzień. Pogodziłam się z Jadzią. Ja pierwsza ją przeprosiłam za ten wyglup na pauzie. Czuję się lepsza niż wczoraj".

To już jest największa tajemnica.

Mówię Ci o tym, bo czytałem bardzo dużo wierszy, opowiadań, powieści, a nawet pamiętników Twoich koleżanek i kolegów. Mimo że było w nich wiele usterek, nieporadności, a nawet błędów, zawsze brałem taki utwór do ręki z szacunkiem należnym dziełu literackiemu i prawie nigdy nie mogłem oprzeć się wzruszeniu, że oto mam do czynienia z czymś bardzo prawdziwym i niezmiernie delikatnym.

Prawie zawsze z poczuciem zażenowania, ale przecież bez poczucia winy, odpisywałem, że utwór w tej postaci nie nadaje się do druku i że pisać mimo to warto. Pozwól, że wytłumaczę Ci, dlaczego:

Dla większości młodych, inteligentnych i wrażliwych ludzi pisanie staje się koniecznością, nie bowiem bardziej nie ułatwia wyrażania własnych uczuć, albo uporządkowania własnych doznań, jak zwierzenie się z nich samemu sobie i utrwalenie tego na kartce papieru.

Nie wszyscy z tych, którzy piszą w młodości, mogą zostać poetami, czy literatami. A przecież piszą. Dobrze robią, jeżeli swoje pisarstwo traktują tak jak konieczność oddychania. Źle robią, jeżeli wyobrażają sobie, że są wybitni, lepsi od innych, że mają szczególny talent.

Talent to nie tylko umiejętność pisania, nie tylko nawet wielkie zdolności. Talent to zdolności plus wielka nieraz długoletnia i niełatwa praca.

Nie warto więc z góry kreować się na pisarza, nawet jeśli ma się za sobą setki zapisanych stronic. Nie można też z góry zakładać, że wybiera się „zawód pisarza". Nie ma szkół, które uczyłyby takiego zawodu. Szkołą jest tu uważne obserwowanie życia i mozolne gromadzenie wiedzy o nim.

Wielu pisarzy w młodości nie zamierzało nimi zostać. Na przykład Boy-Żeleński, zanim zaczął drukować swoje utwory, był lekarzem. Podobnie było z Januszem Korczakiem. Wolfgang Amadeusz Goethe, zanim zabrał się na serio do twórczości poetyckiej, był po prostu prawnikiem. Henryk Ibsen — znakomity pisarz norweski — był pomocnikiem aptekarza. Laureat Nagrody Nobla — Władysław Reymont — był m. in. kolejarzem. Kornel Makuszyński też nie zamierzał zostać pisarzem... Sam mi to mówił.

Wszyscy ci słynni literaci na pewno w młodości też wiele pisali, ale traktowali to jako zaspokojenie wewnętrznej potrze-

by i z odrobiną zażenowania, ale nie bez sentymentu, wspominali swoje młodzieńcze utwory.

Ty też potraktuj swoje pisanie jako rodzaj notatek o samym sobie, jako swój własny portret. Po kilku latach, kiedy odczytasz na nowo swoje utwory, bez niczyjej pomocy potrafisz wypomnieć sobie niejedno potknięcie. Wtedy nie będziesz się tym przejmować, ale będziesz mieć satysfakcję, że pozostał dokument, który kiedyś niewątpliwie ułatwił Ci życie, a nawet je wzbogacił i że jest to niezaprzeczony dowód prawdy o Tobie, przede wszystkim dla Ciebie.

Pisanie „sobie a muzom" nie każdego zadowala. Prawie każdy piszący chciałby mieć choćby jednego czytelnika. Jeżeli odczuwasz taką potrzebę, spróbuj zwierzyć się z tego zaufanemu i naprawdę przyjaznemu Ci nauczycielowi, albo komuś bardziej doświadczonemu z kręgu Twoich znajomych. Jeżeli nie masz nikogo takiego, napisz do mnie. Nie zapomnij dopisać na kopercie pod adresem redakcji: „Ostry dyżur".

PISAĆ, NIE PISAĆ— POPROBOWAĆ MOŻNA!

KLUB NASTOLATKÓW RADZI PRZECZYTAĆ

Dokończenie ze str. 8—9

muzyka z serca płynąca

Chociaż profesor Ball żartował z nas często, był jednak delikatny, bo przesłuchania odbywały się pojedynczo. Wyniki, niestety, miały być ogłoszone w klasie. Wiedziałam, czego mogę się spodziewać.

— Możesz jeszcze zdecydować się na flet, Ellen. Jestem pewien, że będzie to dla ciebie łatwiejsze...

— Zostanę przy trąbce! — powiedziałam z uporem.

Było mi jednak przykro, „że moje nazwisko zostało wyczytane". Nie nadaję się do tego — pomyślałam, przechodząc na stronę nowicjuszy i tych beznadziejnych chłopców, którzy nigdy w życiu nie wydobędą ze swoich instrumentów pięknego dźwięku.

Po skończonych zajęciach wyszłam ze świetlicy. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że ktoś za mną idzie. Obejrzałam się i przez chwilę nie mogłam uwierzyć. To był Robert, który patrząc na mnie powiedział:

— To pech, Ellen. Przykro mi... naprawdę mi przykro, że ci się nie udało.

Chciałam coś odpowiedzieć, ale nie wiedziałam, co.

— W przyszłym roku na pewno będziesz w orkiestrze A. Zresztą, obie orkiestry jadą razem na piknik. Dowiadywałem się...

— Pytałeś? Naprawdę?

— Tak. Chciałem... — powiedział — to znaczy jeżeli nie umówiłaś się z nikim na ten piknik...

Wzięłam się w garść.

— Bardzo chętnie pojadę na piknik z tobą — odparłem. — Ale to dopiero w maju!

— No tak, ale bałem się, że ktoś inny mógłby cię poprosić wcześniej.

— Dziękuję ci bardzo.

— Chciałem cię jeszcze o coś zapytać...

— Tak?

— Gdybyś... gdybyś nie uważała, że jestem zbyt zarozumiały, mógłbym przyjść do ciebie któregoś wieczoru. Naturalnie z trąbką. Może ćwicząc razem ze mną udałoby ci się wrócić do orkiestry A przed majem?

Przez chwilę myślałam, że moja wyobraźnia płata mi figla, bo nie udało mi się nigdy wyobrazić sobie czegoś tak fantastycznego. Chciałam głośno śmiać się i cieszyć. Nie umiem grać na trąbce. A on umie. Czy dlatego... A zresztą, czy to ważne.

— Myślę, że dziś wieczór będzie ładna pogoda — powiedziałam.

— Ja też tak myślę. Czy twoi rodzice nie będą protestować? No wiesz, ten hałas. Dwie trąbki!

— Nasz dom jest szalenie kulturalny — powiedziałam słodko. — Moi rodzice będą uszczęśliwieni.

Przełożyła Halina Wiśniewska

Wielokrotny reprezentant Polski w tenisie stołowym w grze indywidualnej, i aktualny mistrz Polski w deblu, w akcji. Mistrz powiedział nam, że podczas gry nie trzeba przesadnie machać rakietką, wprost przeciwnie — należy oszczędzać sił. Przy odbieraniu serwu przeciwnika zawodnik powinien stać 50—70 cm za stołem, nogi muszą być lekko ugięte w kolanach, natomiast tułów musi być nieco pochylony do przodu. Rzecz jasna, że zawodnicy wyżsi powinni stać dalej od stołu. Proszę zwrócić też uwagę, w jaki sposób pan Zbigniew Caliński trzyma rakietkę.

NASZE BARDZO WIELKIE MECZE

Napisał ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

KIEDY TO SIĘ U NAS ZACZĘŁO?... Chyba przed dwoma laty. W gabinecie Naczelnego trwało właśnie zebranie. Mijały bezcenne minuty i kwadranse i, jak to zwykle bywa na zebraniach, w końcu niektórzy zaczęli dyskretnie ziewać. Więc ziewnął najpierw szef działu popularno - naukowego, potem szefowa działu literackiego; razem ziewnęły panie z działu łączności, a ponieważ ziewanie jest zaraźliwe, o czym każdy dobrze wie, ziewnął nawet sobie dwa razy pod rząd sam zastępca Naczelnego, mimo iż właśnie wygłaszał zasadniczy referat. W dodatku, w pewnym momencie, nasz Naczelny, siedząc w fotelu, zaczął niebacznie rozprostowywać swoje długie kości... Zazgrzytało mu w stawach, zatrzeszczało, aż strach niektórych obleciał, co się może stać za chwilę z Naczelnym. Wtedy Wacuś Bisko (znacie go chyba, no nie?), który od czasu do czasu błyska pomysłami — rzekł niechcący:

— Przydałby się nam pinpong! Pograłoby się kwadransik albo i dwa. Niektórym może przestałoby tu i tam trzeszczeć.

Co ja was będę dłużej wprowadzał w istotę rzeczy. Napiszę krótko: Naczelnemu coś zabłysło w oczach!

Kierownik działu popularno-naukowego wydał z siebie bliżej nieokreślony okrzyk entuzjazmu.

Kierowniczka redakcyjnych literatów (i nie tylko) zaklaskała z uciechy.

Foto-Pstryk przestał jeść pestki z dyni (ostatnio zjada jedną dynię pestek dziennie, a mimo to dobrze się czuje i wymyślił nawet dla gazety... „Labirynt").

Sekretarz redakcji natomiast, nie pytając o zezwolenie, wybiegł bez słowa z gabinetu i po trzech minutach wrócił zziajany (bądź co bądź jesteśmy na piątym piętrze), trzymając w prawej dłoni jedną, białą jak śnieg i lekką jak piórko, piłeczkę pingpongową krajowej produkcji za złoty i sześćdziesiąt groszy.

— Gramy! Koledzy, gramy! Jest piłeczka.

— Wysoko podskakuje — zauważył Naczelny, który pierwszy wziął piłeczkę z dłoni pana sekretarza i puścił ją kilka razy na podłogę...

— Jak ją mocniej cisnąć o podłogę, to skacze wyżej — stwierdził fachowo szef działu popularno - naukowego. Jak byłem młodszy to nieźle grałem.... Moglibyśmy zaraz zacząć.

— Tylko trzeba by jeszcze kupić stół, siatkę i rakietki — bąknął ponuro Wacuś. — To jest forsa!

— Ba — zaklaskała kierowniczka działu literatów.

— Ba — zawtórował z uciechy zastępca szefa i z ochotą zabrał się do wygłaszania referatu.

W oczach koleżanek i kolegów znikł żar nadziei... Tylko u Naczelnego wciąż gorzał.

Nagle Naczelny wstał i oznajmił krótko:

— Wychodzę do dyrektora Sitka. Załatwię wam ten stół, siatkę i rakietki.

I, co najdziwniejsze, Naczelny rzeczywiście wyszedł, i rzeczywiście załatwił wszystko. Następnego dnia w największym pokoju redakcyjnym rozstawiono stół i rozpoczęły się mecze.

Mistrzowie ataku i obrony

CO TO BYŁY ZA MECZE! Przychodziło się do redakcji o godzinie 6-tej rano i grało się z wielką pasją i jeszcze większym poświęceniem. Naczelnemu, po trzech tygodniach, minęły strzykania w kościach. Owszem, czasem coś mu tam jeszcze zazgrzyta, ale w wyjątkowych sytuacjach.

Szef działu popularno - naukowego doszedł do perfekcji w grze solo. To znaczy gra z samym sobą. Odbija po prostu piłkę z jednej strony stołu, a następnie błyskawicznie przebiega na drugą stronę stołu, znowu odbija, znowu biegnie itd., itd., aż mu zabraknie kondycji. Prawdę mówiąc, nikt mu w grze solo nie może dorównać, co bardzo denerwuje naszego zastępcę, który chciałby być od niego lepszy, a nie może. Do dziś kolega zastępca nie może zrozumieć, dlaczego jest gorszy, ale to już jego sprawa.

Wacuś Bisko (znacie go chyba, no, nie?) ma wszelkie za-

datki, aby pobić wszystkich, ale przeszkadza mu w tym pewien drobny szczegół — a mianowicie siatka, która jak wiadomo dzieli stół pingpongowy na dwie połowy. Otóż Wacuś odbija za nisko i piłki idą w siatkę (doradźcie mu, co ma robić, żeby te piłki chodziły wyżej).

Foto-Pstryk wybił się na asa. Zadziera nosa (ma prawo, wygrywa z samym Naczelnym) i nie chce wyjeżdżać w teren (może jakaś drużyna zaprosiłaby go na mecz do siebie). Wtedy musiałby się wreszcie ruszyć i przy okazji przywieźć ciekawy reportaż ze zdjęciami.

A inni?... Inni robią postępy. Dwaj sekretarze redakcji — Jurek i Zbyszek — tak się już zdążyli poznać przy stole, że nie mogą zakończyć gry. Ich sety ciągną się w nieskończoność, bo każdy potrafi przewidzieć uderzenie przeciwnika.

A dziewczęta - redaktorki? Przede wszystkim zeszczuplały a poza tym owszem, owszem, odbijają, aż ściany drżą.

Zjawia się wielokrotny mistrz

NIE TAK DAWNO, kiedy zakończyliśmy już pracę redakcyjną, i mieliśmy wolny czas, Foto-Pstryk odezwał się do mnie:

— Ściągnąłbyś do nas mistrza. Z nim to by się grało.

Zagrał na mojej ambicji. Co — ja nie ściągnę mistrza?... No i chwyciłem za telefon.

Mistrz — Zbigniew Caliński — wielokrotny reprezentant Polski w tenisie stołowym, oraz aktualny mistrz w deblu — nie odmówił.

Proszę bardzo, czemu nie, mam chwilę czasu, wpadnę.

I wpadł. Skromny, wcale nie wyglądał na wielokrotnego mistrza. Szczupły, raczej niski. Rzecz jasna przyniósł swój sprzęt (każdy mistrz ma swój sprzęt). Wtedy otworzyły się nam oczy. Rakietki miał japońskie, których nigdzie w sklepach nie dostaniecie. Wyglądają one na oko tak jak te nasze, ale ... co za grubość gąbki — 10 milimetrów! Ta właśnie gąbka nadaje piłeczce szalone przyspieszenie oraz szybki ruch obrotowy. Japończycy, którzy przed kilkunastu laty po raz pierwszy zagrali tymi rakietkami na mistrzostwach świata, rozkładali najbardziej renomowanych zawodników europejskich i wygrali zdecydowanie mistrzostwa w grze indywidualnej i podwójnej.

Więc mistrz pokazał nam najpierw te rakietki, a potem inne z napisem: „Aleks Ehrlich" i teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że Ehrlich jest Polakiem, byłym mistrzem świata z lat 1936—37—39, że w tej chwili mieszka w Paryżu i jest dziś producentem rakietek, które nie ustępują japońskim. Gąbka zresztą na tych rakietkach jest japońska. A więc i w tenisie stołowym byliśmy kiedyś mistrzami świata. Czy i wy o tym wiedzieliście?

Po krótkiej rozgrywce mistrz uśmiechnął się do nas:

— Kto pierwszy?

— Nikt nie chciał ryzykować. Wiadomo — prestiż. Oczy naszych pań skierowały się na mnie. Bądź co bądź jestem tuż za Foto-Pstrykiem, a czasem nawet z nim wygrywam.

Kilka próbnych piłek... Wreszcie rozpoczynamy seta. Serwuję, mistrz odbija. Ścinam i... jeden do zera dla mnie.

Potem mistrz mnie zdeklasował, choć wiedziałem, że nie gra na najwyższych obrotach. Drugi punkt zdobyłem przy stanie 14 : 1 dla mistrza, potem było 16 : 3, 16 : 4 i nastąpił koniec. Przegrałem do 4.

Potem grali inni. Nikt nie był lepszy ode mnie.

Rozmowa po grze

MISTRZ USIADŁ. Pakował do torby rakietki, piłeczki...

— Ilu ludzi w Polsce gra w ping-ponga? — zapytałem.

— Nie mówi się ping-pong, tylko... tenis stołowy. A uprawia tę dyscyplinę sportową cała armia dziewcząt i chłopców. W klubach natomiast zarejestrowanych jest 15 tysięcy członków.

— Czy gra w tenisa stołowego jest pożyteczna?

— Bardzo. Wyrabia kondycję, refleks, rozwija wszechstronnie młody organizm. Na przykład ludzie, pracujący w przemyśle precyzyjnym, jak również piloci i kierownicy samochodów wyścigowych, na ogół bardzo dobrze grają.

— Kiedy pan zaczął trenować?

— Miałem 15 lat. Mama miała w pokoju duży rozsuwany stół. Zakładaliśmy z kolegą siatkę i rozgrywaliśmy sety. To były mecze! Mama specjalnie nie krzyczała, bo lubiła tenis stołowy. Po kilku latach wstąpiłem do klubu i w roku 1958 po raz pierwszy zostałem mistrzem kraju. Dziś gram w debla wraz z Kusińskim lub Rogowiczem i już od 12 lat jesteśmy nie do pokonania.

— Jak długo trzeba trenować, żeby zostać dobrym zawodnikiem?

— Jeśli ktoś ma kondycję i dobry refleks, trzy lata treningu wystarcza, żeby stoczyć ze mną wyrównany pojedynek.

— W jakim wieku rozpocząć grę?

— Im wcześniej, tym lepiej. Tenis stołowy to skomplikowana gra, choć, tak na oko, każdy potrafi odbijać piłeczkę.

— Jednym słowem zachęca pan naszych czytelników, żeby grali w tenisa stołowego.

— Jak najbardziej i życzę im pięknych wyników!

Mistrz uścisnął moją dłoń, potem pożegnał się z całą naszą redakcją i życzył nam zaciętych setów.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

PS. Jeśli ktoś pragnie rozegrać z nami mecz (kandydata każdy może sobie wybrać — znacie nas przecież) to bardzo prosimy! Adres redakcji w stopce! (Z.P.)

FOTOGRAFOWAŁ M. ŚWIDERSKI

Pan Caliński opowiedział nam, że przed wojną sety nie były ograniczone w czasie. Otóż w roku 1937, na mistrzostwach świata, nasz reprezentant Ehrlich walczył przeciwko Rumunowi Panetowi. Pierwszą piłkę setową obaj zawodnicy rozgrywali przez godzinę i 56 minut, a cały mecz trwał ponad 5 godzin. Po tym wypadku międzynarodowe władze tenisa stołowego postanowiły ograniczyć czas trwania setu w zasadzie do 15 minut. Dlatego od tej chwili zawodnicy zmienili taktykę gry. Zaczął przeważać atak nad obroną. Kto lepiej ścinał, ten na ogół zawsze wygrywał. Warto o tym wiedzieć.

Mistrz serwuje. Piłeczkę na dłoni trzeba podrzucić i uderzyć rakietką. Najlepiej kierować piłeczkę w to miejsce na stole, które jest słabo bronione przez przeciwnika. Niby jasne, ale każdy zawodnik stara się ukryć swoje słabe miejsca na stole.

RADY MISTRZA

◆ Jeśli zawodnik serwuje w siatkę, liczy się punkt dla przeciwnika. Jeśli jest natomiast tzw. net, trzeba zaserwować jeszcze raz. Nie jest prawdą, iż trzykrotny... net daje punkt przeciwnikowi.

◆ W czasie gry wolno uderzać (przypadkowo) rakietką w stół, natomiast nie wolno w czasie gry opierać się ręką o blat stołu.

◆ Czas trwania seta w tenisie stołowym jest ograniczony do 15 minut. Jeśli zawodnicy nie zmieszczą się w tym limicie, sędzia przerywa na chwilę grę i oznajmia zawodnikom, że ich czas upłynął. Set nie kończy się jednak automatycznie: każdy zawodnik ma teraz jeszcze prawo do... 12 odbić. Potem sędzia ogłasza wynik: kto prowadzi, ten wygrywa.

WYJĄTKI Z REGULAMINU

Podczas treningu podzielcie sobie stół kredą na różne segmenty, oznaczając je kolejnymi cyframi. Odbijając piłeczkę starajcie się skierować ją na kolejne pola (rys.). Taki trening ćwiczy oko i rękę.

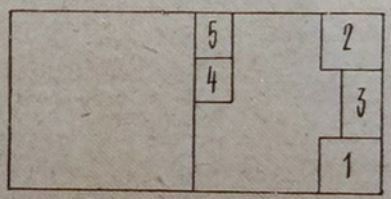

Zdarzały się i takie sytuacje. Cóż, pan Caliński oczarował nas swoją grą.

MUCHA NA SZACHOWNICY

W jaki sposób mucha może obejść wszystkie białe pola szachownicy, aby ani razu nie wstąpić na pole czarne i ani razu nie przejść dwukrotnie po którymkolwiek białym polu? Wędrówkę można zacząć z lewego górnego rogu.

Rozwiązania prosimy przysyłać w formie graficznej. (b)

Niezwykłe doświadczenia

SZKLANKA BEZ DNA

DOBRZE wysuszoną i czystą szklankę napełniamy po brzegi wodą tak, aby się nie przelała. Na stole obok kładziemy pudełko szpilek krawieckich. Następnie zaczynamy wkładać do szklanki po jednej szpilce. 10, 20, 50 szpilek, a woda ciągle się nie wylewa. Wkładamy dalej. Już szpilki sięgają połowy szklanki, a woda się nie wylewa. Wkładamy dalej. Tysiąc szpilek zmieściło się w szklance, a woda się nie wylewała.

Pytanie: **Jak to się stało, że w napełnionej wodą po brzegi szklance mogło się zmieścić tyle szpilek?**

WYSPA ODKRYTA PRZY BIURKU

STATEK rosyjskiej ekspedycji arktycznej „Św. Anna" dryfował w lodach po Morzu Arktycznym w latach 1912—1914. Ekspedycja zakończyła się jednak tragicznie i załoga „Św. Anny" zginęła. Ocalały jednak znalezione przez wyprawę ratunkową materiały, zebrane przez naukowców dryfującego statku.

Dziesięć lat minęło, i w roku 1924 zdawało się, że materiały tragicznej ekspedycji zostały już szczegółowo odczytane i, co ważniejsze, należycie zrozumiane. Jednakże uczony, Włodzimierz Wize, myślał inaczej. Po długich studiach nad materiałami stwierdził, że na wschód od Ziemi Franciszka Józefa powinien znajdować się ląd. I zaznaczył na mapie przypuszczalne miejsce nowej wyspy.

Co zwróciło uwagę uczonego? Istnieje dużo szczegółów, które mogą świadczyć o bliskości lądu. Zanotowane przez uważnego obserwatora na statku, mogły nasunąć uczonemu przypuszczenia o istnieniu wyspy. Na przykład zachowanie się ptactwa, ułożenie mas lodowych, kierunek prądów morskich itp. Dobra znajomość praw przyrody i inteligentne ich interpretowanie pozwalają odkrywać rzeczy ukryte przed bezpośrednią obserwacją.

Po sześciu latach zorganizowano na lodołamaczu „Siedow" nową ekspedycję. Na pokładzie znajdował się również Włodzimierz Wize. I rzeczywiście — na 79 st. szerokości geograficznej północnej i 77 st. długości wschodniej, jak dokładnie oznaczył Wize, znajdowała się niewielka wysepka o powierzchni 200 kilometrów kwadratowych (wyobraźcie sobie prostokąt 10 kilometrów szerokości i 20 kilometrów długości — to właśnie 200 kilometrów kwadratowych). Wyspa była płaska, prawie zupełnie pozbawiona roślinności, ponura, ale czy możecie sobie wyobrazić radość uczonego, którego nazwisko stało się odtąd imieniem wyspy? (wk)

FAŁSZYWA MONETA

W CZASIE PRAC wykopaliskowych archeolodzy znaleźli w ziemi garnek ze złotymi monetami. Było ich razem 80 sztuk, przy czym pod względem wielkości były identyczne. Skądinąd wiadomo było, że wśród tych monet jedna jest fałszywa, a mianowicie nieco lżejsza od innych. Najprościej ją było odnaleźć porównując na wadze szalkowej wagę poszczególnych par monet. W najgorszym przypadku za czterdziestym ważeniem cel zostanie osiągnięty. Jeden z archeologów chwilę jednak pomyślał i powiedział, że można wskazać fałszywą monetę, wykonując tylko cztery ważenia. Sprawdziliśmy, i rzeczywiście okazało się, że jest to wykonalne. Spróbujcie więc i wy dokonać tej sztuki. (bor)

L-3

Ten znaczek naklejajcie na listach z rozwiązaniami zadań „Labiryntu".

ANEGDOTY, ŻARTY, POWIEDZONKA

PRZECHYTRZYŁ

Pewnego razu do gabinetu bardzo znanego, wiedeńskiego lekarza Notnagela przyszedł z pierwszą wizytą bogaty, lecz niezwykle skąpy, pacjent. Pacjent wiedział wcześniej, że lekarz pobiera za pierwszą wizytę 25 koron, a za następne tylko po 10. Skąpiec postanowił więc przechytrzyć lekarza.

— Dzień dobry, mój drogi doktorze, ja znowu u pana — zawołał od progu niczym dobry znajomy.

Doktor Notnagel miał jednak doskonałą pamięć i od razu zrozumiał, w czym rzecz. Szybko obejrzał pacjenta i rzekł:

— Zmian nie widzę, proszę brać nadal te same lekarstwa, które panu wcześniej przepisałem.

LENIWY

Nasza firma „Myśl" otrzymała ostatnio ogromną ilość nowinek technicznych. Kupcie np. ten nowy aparat. On zaoszczędzi wam połowę pracy umysłowej.

— Tylko połowę? Hm... W takim razie proszę zapakować dwie sztuki.

LŻEJSZY OD HUMBOLTA

— **Ja ważę** dokładnie o jeden kilogram mniej, niż ważył wielki uczony Aleksander Humbolt — zwierzał się pewien biolog.

— Zupełnie możliwe — zgodził się z nim kolega. — Szkoda tylko, że ten kilogram przypada na pańską głowę.

W NAJSTARSZEJ

Historia jest niezwykle ciekawa. Bo przyznajcie sami — czy nie chcielibyście wiedzieć, kiedy pojawiły się na Ziemi pierwsze szkoły i jak wyglądała w nich nauka?

Do takiej bardzo, bardzo starej szkoły wybieramy się dzięki archeologom. Oni właśnie, prowadząc badania wykopaliskowe na południu Iranu, odkryli najstarszą, znaną szkołę.

Korzystając z cudownej machiny czasu możemy cofnąć się aż o 4700 lat wstecz. Jesteśmy w pięknym mieście Sumerów — w Ur. Muszę wam powiedzieć, że Sumerowie byli jednym z najstarszych narodów o bardzo wysokiej kulturze.

Idziemy przez ulice miasta Ur do jednej ze szkół sumerskich. Budynek szkolny jest parterowy i mieści zaledwie kilka klas. W każdej klasie zastajemy około 20 do 25 uczniów. Pierwsza rzecz, która nas uderza odmiennością, to brak w szkole dziewcząt — wszędzie spotykamy tylko chłopców. No cóż, nie ma się co dziwić, jesteśmy wszak w epoce sprzed 47 wieków.

NAPISY TE ZNACZĄ:

U góry od lewej: Anu, Enlil — bogowie sumeryjscy;
Środek: Ea — bogini;
Dół: Hammurabi — sławny prawodawca i król sumeryjski.

Przyjmujący nas nauczyciel wyjaśnia nam, jak przebiega samo nauczanie.

— Szkoła trwa kilka lat — mówi powoli. — Jeśli jednak uczeń wyróżni się wzorową pilnością, to już po dwóch latach zdobywa tytuł „młodszego pisarza". Wówczas otrzymuje on pod swoją opiekę pierwszaka. „Młodszy pisarz" uczy swojego podopiecznego, objaśnia mu wszystkie tajniki wiedzy, sprawdza jego zadania. Odbywa się to jednak pod kontrolą nauczyciela.

Na lekcji

DRUGA NIESPODZIANKA — żaden uczeń nie ma zeszytu ani książki, jako że w tamtych czasach papier jest w ogóle nie znany. Na czym więc uczniowie piszą? Sumerowie znaleźli sposób — służą do tego celu gliniane tabliczki, które zresztą muszą sobie przygotowywać sami uczniowie.

Jesteśmy teraz na lekcji. Uczniowie siedzą bardzo cicho, nie kręcą się, nie rozmawiają. Najwidoczniej panuje tu straszny rygor. Po chwili nauczyciel wzywa jednego ucznia, do odczytania swego domowego zadania:

„Co robiłem wczoraj w szkole" — tak brzmi temat wypracowania. Uczeń bierze glinianą tabliczkę i czyta: „Ja nauczyłem się na pamięć swojej tabliczki, zjadłem śniadanie, zrobiłem nową tabliczkę i całą zapisałem. Potem otrzymałem jeszcze jedno ustne zadanie i po obiedzie jeszcze jedno piśmienne. Po zajęciach poszedłem do domu. W domu siedział mój ojciec. Opowiedziałem mu o pis-

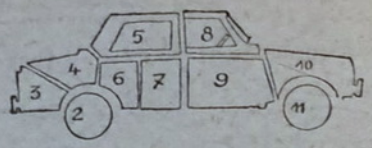

FABRYKA SAMOCHODÓW

CZYLI

MAŁA GRA ŚWIĄTECZNA DLA DWÓCH, TRZECH LUB CZTERECH UCZESTNIKÓW

POTRZEBNE nam będą dwie kostki do gry numerowane od 1 do 6 i cztery sylwetki samochodów, które należy nakleić na karton, i wyciąć według podanego wzoru, lub też przerysować na karton i wyciąć.

Wycięte kawałki (każda sylwetka składa się z dziesięciu części numerowanych od 2 do 11) rozrzucić na stole numerami do góry.

Rozpoczynający rzuca dwie kostki. Suma cyfr daje mu numer części, od której zacznie on kompletować swój samochód. Rzuca się kostkę po kolei. Jeśli jednak zdarzy się, że komuś wypadają dwie takie same cyfry, opuszcza kolejkę. Wyjątkiem są dwie szóstki: wtedy zawodnik ma prawo dokupić część o dowolnym numerze. Kto pierwszy skompletuje swój samochód — ten wygrywa.

Jeśli gra się we dwójkę, wtedy rozgrywka jest ciekawsza i dłuższa, gdyż każdy zawodnik musi zbudować z kawałków dwa samochody.

Oczywiście w wypadku, gdy z rzutu kostkami wynika, że część o takim numerze już się ma w swoim komplecie, zawodnik nic nie dokupuje.

Kostki można zrobić w ciągu kilku minut, choćby z ziemniaka i ponumerować długopisem.

(j. d.)

KONKURS

Które lampki się nie świecą?

◆ Ktoś robiąc oświetlenie na choinkę noworoczną połączył osiemnaście kolorowych żaróweczek według podanego powyżej schematu. Oczywiście, bateria miała odpowiednie napięcie, tak że wszystkie lampki powinny się świecić. Niestety! Na skutek wadliwego połączenia przewodów tylko dwanaście lampek rozbłysło światłem. Pozostałe sześć nie zaświeciło się.

Na kuponie obok przekreśl litery odpowiadające lampkom, które się nie świeciły. Kupon wytnij lub przerysuj i przyślij do redakcji. Być może wygrasz nagrodę-niespodziankę!

(j. d.)

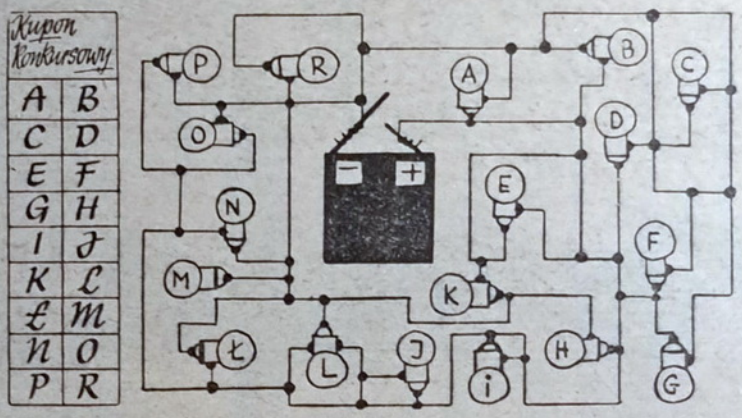

„Dlaczego ogórek nie śpiewa?"...

...pytał poeta Konstanty Ildefons Gałczyński w wierszu o tym właśnie tytule. Oczywiście wiersz jest żartobliwy, poeta nie miał zamiaru pisać poważnej pracy naukowej na temat śpiewających ogórków, chciał tylko czytelników zabawić.

Przypomniałem sobie o tym ogórku w czasie rozmowy z pewnym znajomym Hindusem, który przyjechał do Polski, aby napisać pracę doktorską i tym zakończyć studia prowadzone uprzednio na uniwersytetach w Kalkucie i Londynie. Otóż opowiadał mi ów Hindus, że w Londynie, w jednej z kawiarń zbierali się profesorowie i studenci z różnych krajów, aby podyskutować nad takimi właśnie dziwacznymi problemami. Ktoś rzucał pytanie, możliwie najbardziej bezsensowne, a zebrani z śmiertelnie poważnymi minami zaczynali dyskusję. Cała zabawa polegała na tym, by w dowcipny sposób udowodnić, lub zbić argumenty przeciwnika posługując się językiem zupełnie serio, jakim zazwyczaj pisze się prace naukowe.

Spróbujmy i my tej zabawy. Kto przyśle odpowiedź na — „pytanie to w tytule, postawione tak śmiało" — a będzie to odpowiedź dowcipna, pomysłowa i w miarę logiczna i nie za długa (najwyżej dwie strony zeszytu) — ten wygrać może:

OGROMNĄ PUSZKĘ KONSERWOWYCH OGÓRKÓW

którą mu prześlemy pocztą.

Oczywiście „pracę naukową" na temat „muzykalnych ogórków" wydrukujemy, a jakże, z podpisem autora. (j.d.)

KTO ODPOWIE?

Ile razy widzę w kinie jadący samochód, zastanawia mnie, dlaczego koła obracają się w kierunku przeciwnym. Problem ten nurtuje Adama Rościaka z Łodzi. Czekamy na wasze wyjaśnienie.

(b)

SZKOLE ŚWIATA

miennym wypracowaniu i poszedłem do domu. W domu siedział mój ojciec. Opowiedziałem mu o piśmiennym wypracowaniu i powiedziałem wyuczone na pamięć zadanie. Ojciec był bardzo zadowolony".

Uczeń skończył czytać. Zapanowała znowu cisza. Nauczyciel podszedł do ucznia, wziął jego tabliczkę i zaczął sprawdzać. Nagle zmarszczył brwi — najwidoczniej znalazł jakiś błąd. To wystarczyło, aby uczeń otrzymał porządne lanie. Dwój tu się nie stawia. Kary cielesne otrzymało tego dnia jeszcze kilku innych uczniów — dwóch za spóźnienie się do szkoły, a czterech za kręcenie się i przeszkadzanie na lekcji.

Uf, dobrze że nie musimy chodzić do sumerskiej szkoły.

Pod koniec lekcji nauczyciel podyktował zadanie z matematyki: „Ile metrów sześciennych ziemi trzeba wyrzucić, aby powstała studnia o głębokości 22 metrów i o promieniu 80 cm" — tak brzmiała jego treść. (Kto ma ochotę na rozwiązanie tego zadania sprzed 4700 lat — bardzo proszę).

Trochę nas to zdziwiło, że już wtedy potrafili uczniowie rozwiązywać takie trudne zadania.

Gliniane książki

W CZASIE PRAC wykopaliskowych na terenie dawnego miasta sumeryjskiego Ur archeolodzy znaleźli ogromne ilości glinianych tabliczek. Jest to bezcenny skarb dla nauki, gdyż z tych właśnie glinianych „książek", lub jak kto woli „zeszytów", dowiedzieliśmy się o życiu i poziomie wiedzy uczniów w pierwszej szkole na ziemi. Ale, co ciekawsze, sposób prowadzenia zajęć już wówczas był bardzo podobny do dzisiejszych metod (z wyjątkiem kar cielesnych).

Szczególnie same początki nauki były nieomal identyczne. Najpierw uczeń poznawał poszczególne litery, później sylaby, a następnie uczył się całych wyrazów i zdań.

W szkole sumeryjskiej uczono nie tylko ojczystego języka i matematyki, poznawano także mineralogię, zoologię, botanikę i geografię.

Pismo Sumerów w niczym nie przypominało naszego. Nazywamy je dziś pismem klinowym, gdyż składa się z trójkątnych znaków o kształcie jakby kliña. Pisanie również wyglądało inaczej. Uczeń lub pisarz miał odpowiednio zaciętą kawałek trzciny, którym wyciskał w glinianej tabliczce znaki. Po wyschnięciu gliny tekst na tabliczce był bardzo trwały — najlepszy dowód, że wiele glinianych „książek" zachowało się do naszych czasów.

ST. BOROWIECKI

TYTUS, ROMEK I ATOMEK

CZĄTEK NA STR. 1